

Ostrożnie z ogniem



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Ostrożnie z ogniem

A ja, zawołała blondynka, żywo podnosząc głowę i wyciągając rękę jakby wskazywała miejsce, w którym przed nią ktoś miał uklęknąć — ja, żebym kochała, żebym najmniejszą oznaką wzajemności opłaciła miłość, żądam po moim przysłym kochanku, jak starożytna heroina: jak xiężniczka w bajce, tysiąca, tak tysiąca dowodów przywiązania. Dwom, trzem, niewierzę. — Ci panowie mają nas za słabe i łatwowierne istoty; myślą sobie — O! bylebym się uśmiechnął do niej, bylebym tylko chciał. O! nie! nie! ze mną to nie będzie tak łatwo. — Nim uwierzę, nim się poddam, musi mi mój kochanek wycierpieć męki czyscowe; będę go dręczyć, będę go drażnić, będę go ujeżdżać. —

— Aż miłość w nim zabijesz, odparła czarnooka.

— Ja bo takiej miłości, która zabić łatwo, jakiegoś tam robaczka, co to mu lada chłodek szkodzi, lada ciepło go o młodości przyprawia — niechcę, niechcę. Wszystko, albo nic. Chce kochać, ale kochać raz na zawsze, całą duszą, całym sercem, życiem całym. A wzajemnie chcę duszy, serca i życia. —

— Duszko chcesz wiele, chcesz za wiele!

— A nie — to nie będę kochać wcale, zawołała żywo blondynka — Co mi tam! te wasze bladuróżowe miłości wykwitające z każdą wiosną, opadające za każdą zimą, to funta kłaków nie warte.

— Kochanie! spytam cię przedrzeźniając francuzkie przysłowie — na jaką to xiążkę stąpiłaś dzisiaj?

— Xiążkę?? Jak gdyby to xiążki taki na mnie wpływ miały. — Jeśli koniecznie chcesz spowiedzi, powiem ci szczerze, najszczerzej, cóżem ja temu winna, że mnie taką pan Bóg stworzył? U mnie tak zawsze i we wszystkim. — Wszystko lub nic. Pytam się ciebie, lepiejże swoje serce, przywiązanie, siłę tę, którą Bóg w nas wlał dla szczęścia ludzi..

— Duszko moja! przerwała śmiejąc się czarnooka.

— Nie przerywaj — Lepiejże tę siłę zmarnować, kupując za nią obwarzanki po trzy grosze, które ni smakują, ni karmią, czy za całe złoto jej dostać jedno rajskie jabłko?

— A! dobrze powiedziałaś mimo woli — Rajskie jabłko, i jak po niem: wygnanie z raj, płacz i śmierć. —

— Mój raj w sercu mojem, a gdy w niem tylko miłość przechowam i uniosę, któż mnie z niego wygna? —

— Zapominasz w zapale, jak krucho szczęście ludzkie.

— Tak! ale i życie krucho — to pociesza. —

— Droga, unosisz się zadaleko — Śmiałabyś —

— Wszystkobyś śmiała, kochając — kochana.

— Wielkie szczęście, że nikt nas niesłysz.

— O! jestem pewna, że choć tego nie mówię, wszyscy mi to z oczów czytają.

— Nie daj Boże!

— Jak to? czyste mam myśli!

— Ale szalone i nie jeden zapragnąłby z nich korzystać, — oni tak dobrze grają jaką chcą rolę.

— Nie zemną! Niechże wprzód przebędzie próby i złoży dowody. — A! naówczas, gdy pokocham, gdy będę pewną, że mnie kocha — jego jestem cała, na wieki. Niekochając i głowy nawet nieodwrócę i próbować nie będę — Na co?

— A nuż pójdziesz za mąż bez miłości?

— Ja? ja? To mówiąc rozśmiała się na całe gardło i pokazała białe jak śnieg ząbki drobniuchne, ostre, gęsto w ustach zasiane. Ja? pójść za mąż tak sobie, jak to wy wszystkie idziecie? — Prawdziwie, gdyby to kto inny mówił? ale ty moja droga, co mnie znasz. —

— A! wszystko się trafia na świecie!

— Nie! nie! nie! — I wzięwszy się oburącz za głowę, blondynka zakręciła się w kółko, potrząsała nią i ruszając ramiona, usiadła znowu na zielonej murawie pod dębami.

— A gdyby?

— Gdyby, mówisz? Niechże mój przyszły małżonek wcześniej sobie stryczek nagotuje, bo pewnie do pół roku powiesić się będzie musiał, rozumie się, jeśli sobie w łeb nie strzeli, czego mu nie bronie. — Takiej żony świat nie widział, jaką bym ja była.

— Z twojem anielskim sercem —

— Tak, z mojem! Mam serce, mam, ale też kiedy to serce zabije nienawiścią, gniewem, wstrętem; z drogi panowie! z drogi!!

— A! jakżeś ty zabawna! smutnie odpowiedziała po chwilce namysłu wewnętrznego czarnooka.

— Zabawna! słyszysz ją? Ty mi nie wierzysz?

— Wierzę, że dzisiaj tak myślisz! ale jutro — jutro tak odmieniam!

— U mnie wczoraj, dziś, jutro — Jedno!

— Droga, zapalasz się —

— Całe życie jestem zapalona.

— Słuchaj! a gdybyś kochała nie kochaną?

Blondynka zastanowiła się, otworzyła oczy wielkie — No, to cóż? będę się starać o *jego* miłość z *umiarkowaniem*; a jeśli mnie nie pokocha — no — to — to —

— Sprzeczasz się sama z sobą — Z *umiarkowaniem*? gdzież twoje umiarkowanie, którego się wyparłaś przed chwilą? Dokończ więc, cóż będzie jeśli nie pokocha?

— To potrzebuje namysłu! Czyż wiem coby natenczas zemną było. Umarłabym — albo, albo — O! niewiem — kto to takie robi przypuszczenia dla mnie, co jestem niepochlebiając sobie — wszyscy mi to mówicie — ładna jak aniołek, zła jak szatanek i doprawdy, sama przyznaj — że wcale nie głupia. —

— Chodź dziecko! niech cię uściskam! I dwoje dziewcząt rzuciły się, śmiejąc ku sobie, objęły się rękoma, a w pocałunku długim, serdecznym, urwała się rozmowa..

Był to prześliczny wieczór letni, a dzień pogodny — słońce za drzewami złoćilo zachód jaskrawo; reszta niebios od światła żółtego, od czerwonych blasków, przez liliowe półcienie zlewała się z czystym błękitem, na którego tle jednostajnym płynęły powolnie chmurki z jednej strony płomienne, z drugiej przyćmione. Czerwony xiężyc podnosił się na przeciwnej stronie, przekreślony w pół pasem niedojrzanej chmurki, która go rozcinała na dwoje. —

— Nad drogą szeroką wiodącą do widnego w oddaleniu dworu na wzgórkę stojącego, na łące zielonej pod rozłożystymi dębami malowniczo rozrzuconymi, siedziały nasze dziewczęta jeszcze uściskiem milczącym spojone. Blondynka położyła główkę cudnej piękności na ramieniu swej towarzyszki, która oczy wlepiała w ziemię i smutnie się zadumała.

Śliczny to był obrazek! Promienie słoneczne padając przez drzew gałęzie dziwacznie oświecały zieloną murawę na której siedziały i ich piękne twarzyczki. Skromnie i po wiejsku ubrane, pozrzucawszy kapelusze słomkowe, u nóg ich leżące, z rozpuszczonymi biegiem i swawolą włosami, dwie dziewczęta spoczywały teraz po przechadzce i żywej rozmowie. Młodsza blondynka, aniołek piękności, z głębokim ognistym spojrzeniem, szafirowych oczów, średniego wzrostu, nieporównanej kibici, miała w sobie coś tak uroczego, że niepodobna było spojrzeć na nią i nie zadrzeć. Jej wzrok mówił tak wiele, tak dziwnych rzeczy, że nad nim jak nad niezgłębianą przepaścią, stawał osłupiały człowiek. Spiące myśli rozbudzały się nim w duszy, falami biły o serce i rzucały w niepewność, zadumę, tęsknotę i rozpacz.

Wzrok tej kobiety był najsilniejszym dowodem nieśmiertelności duszy ludzkiej. Jego życie było tak silne, tak wielkie, że się tym światem i żywotem skończyć nie mogło. Lecz o dziwna sprzeczności! — usta tej samej kobiety, małe różowe, świeże jak rozkwitła róża, śmiały się szydersko z własnych oczów. Oczy miała niebieskie — usta ziemskie. I kto się upił jej oczyma, otrzeźwiał ustami. Patrząc w jej źrenice, można było wieczność

przedumać i wieki prześnić w zachwycie; — usta w jednym pocałunku oddawały całe skarby swoje. —

A jak była piękna! jak piękna, gdy czasem usta różowe smutnie się do wyrazu jej oczów nastroiły: naówczas świat cały u nóg jej mógł leżeć i wstaćby mu się niechciało i niepomyślałby wstawać. —

Czoło blondynki godne było jej oczu; a włos jasny opromieniał je, jak aniołów skronie rozjaśnia złocisty nimbus. Było to białe pole, po którym płynące zdawało ci się widzieć myśli jasne, myśli szare, złociste, skrzydlate; — każda z nich przesuwiała się po niem wyraźnie, przepływała przez oczy czarodziejskie i — nikła. — Któż wie gdzie nikną myśli, dokąd idą? Towarzyszka pięknej Julii niemniej zastanawiała wdziękiem smutniejszym daleko, na którym piętno wyraźne złożyło uczucie, niemające w języku naszym nazwania, bośmy go w sercach niemieli, niemamy — *rezygnacja*. — Czarne oczy długą rzęsą przyćmione, w łzie niewysychającej pływające, lśniły się cichym tłumionym smutkiem, którego perjod gorączkowy, chwila gwałtowna już przeszła. Pozostała — rezygnacja w cierpieniu. — Usta czarnookiej śmiały się, ale smutnym, zawodu i boleści chrześcijańskiej uśmiechem, cała twarz mówiła o tajemniczej przeszłości jakiejś bohaterko przeniesionej, która jak widmo już tylko przesuwiała się przed jej oczyma.

A jednak mimo surowego wyrazu twarzy, czarnooka mało co była starsza od towarzyski; — widocznie cierpienie jej dojrzałość przyspieszyło, i każdy rok dwa lata zapisał na chmurnem jej czole.

Czarnooka nie miała tej świeżości wiosennej, tej białości idealnej, która tak zdobiła blondynkę; blada, ciemnej płci, pomimo piękności rysów potrzebowała być bliżej poznana, żeby się podobała, żeby pociągnęła. Nie jednemu zdała się nawet brzydką. Wzrok jej nigdy się nie podnosił śmiało, po młodemu z zapytaniem, z wyzwaniem, z ciekawością; jakby niechciała w świat patrzeć lub nie była go ciekawa, spuszczała oczy, przelotnie rzucała powłóczytym wzrokiem, gdy na nią nikt nie patrzył.

W uścisku serdecznym, długim, niewiem co myślały obie — może o innym pocałunku! o przyszłości, o sobie — może? któż wie co myślą dziewczęta, gdy się całują, kto wie czy myślą nawet? Spuściły głowy, oparły je i oplotłszy się rękami dumaly. Marja czarnooka patrzyła na ziemię. Julja blondynka puściła wzrok po za drzewa w jasne promienia słoneczne, od których nie zmrużyła powiek. — I chwila dość długa upłynęła tak niepostrzeżona, nieuczula, zdało się im, że mgnieniem oka przeleciała.

W tem po za nimi tentent i szelest nagle dały się słyszeć, ziemia zadrżała, gałęzie chrzęstać poczęły, liście spadać strzęsnione; a dziewczęta przestraszone niewymownie, niemając siły zerwać się na nogi przed groźącym jak im się zdawało niebezpieczeństwem, obróciły tylko główki w stronę z kąd je łoskot dochodził. —

Z zielonej dąbrowy pędził jeździec na pięknym siwym koniu, ze strzelbą na plecach; walczył on z ognistym i prześlicznych kształtów wierzchowcem, który go prawie unosił. — Z rozdartem nozdrzem, z rozczochraną grzywą, podrzuconym ogonem, spotniały, z żyłami wzdętymi, które siecią dziwną na cienkiej rysowały się skórze, siwek unosił a raczej unieść chciał pana. Ale nie było to łatwo. Na grzbiecie jego, jak wrosły siedział młody, przystojny, barczysty i silny jak się zdawało mężczyzna. Ubior jego bardzo był prosty, bo składał się z sukmanki siwej, zielono okładanej, na której strzelba i róg myśliwski na zielonych krzyżowały się paskach. Na czole czapeczka lekka krojem pospolitym ledwie pokrywała część głowy, noszącej wyraz mężki i szlachetny. Ciemne włosy krótko ucięte, ciemne oczy, nos orli z ruchawemi jak u szpaka nozdrzami, które w tej chwili walka rumieniła, usta rumiane i kształtne, składały całość więcej charakterem niż rysami odznaczającą się. Spokojna odwaga, mężstwo pewne siebie, a przytem łagodność towarzysząca zawsze prawdziwej sile, odbijały się na pięknej jego twarzy. Nie bił i nie znęcał się nad koniem jak innyby pewnie uczynił, ale go wstrzymywał, łagodził i pokonywał zręcznie.

Prawie najechawszy na siedzące dotąd pod dębami dziewczęta, gdy te krzyknęły z bojaźni, a koń nagle w bok się odsądził gwałtownie; myśliwiec potrafił utrzymać się na nim i korzystając ze znużenia jego, osadził prawie na miejscu.

Naówczas spojrział dopiero na dwie piękne nieznajome, i widać było jak się zdziwił, postrzegłszy je niespodzianie.

— Przepraszam! zawołał zdejmując czapeczkę — przestraszyłem panie!

— O nie! odpowiedziała Julja — to nie, ale pan się sam rozbić mogłeś, lecąc tak przez las.

Nieznajomy się uśmiechnął —

— Pozwoliłem, rzekł głaszcząc siwego — pozwoliłem memu koniowi myśleć, że mnie uniesie. Jeszcze raz darować mi proszę. To najgorzej, że się w cudzy las zapędził i muszę jak złodziej uciekać.

To mówiąc skierował siwego ku drodze, skłonił się patrzącym nań dziewczętom, przesadził rów, i puściwszy koniowi cugle, jak strzała uniósł się w stronę przeciwną dworowi. A uciekając obejrzał się raz jeszcze. —

Marja i Julja patrzyły nań długo, długo; pierwsza dumiała smutnie, druga marzyła coś z bijącym sercem.

— A! a! opowiem babuni, gdy wrócimy, zawołała Julja z pospiechem — miałyśmy przecie awanturę, coś nakształt pierwszego rozdziału starego, bardzo starego romansu. A wiesz Maryniu, że mi się to bardzo podoba! Nagle z drzew wypada nieznajomy, na siwym koniu; piękny, młody, silny zjawia się, przemówił i znika. Niewiemy kto jest, zkad? prześliznie! I jak w porę przybył; właśnie gdyśmy mówiły o miłości, o kochanku — nie jestże to oznajmienie? nie jestli to jakby coś przez los obrachowanego? Mówiąc to Julja się uśmiechała; ale łatwo poznać było, że choć żartem niby zwierzała się myśli, myśl ta już nad nią panowała.

— Julciu droga, już ci się główka zapala!

— Gdzież tam! ale sama wyznaj! nie prześlizniż to mojego romansu początek. Młodzieniec nawet bardzo się zbliża do mojego ideału, pełen wyrazu siły, męztwa i szlachetności.

— Jużes go tak dobrze oceniła?

— O! na to dosyć jednego wejrzenia —

— Czemuż ja widziałem w nim tylko zbłąkanego sąsiada, który trochę się chciał przed panienkami z Dąbrowy swoim koniem pochwalić!

— Niegodziwa jesteś! Naprzód koń go doprawdy unosił; powtóre znamy wszystkich naszych sąsiadów. —

— Wiec to rycerz nieznajomy z nieba dla ciebie spadły?

— Już nic niepowiem! sztydysz ze mnie! Ale wyobrażam sobie podziwienie dobrej babuni, gdy jej naszą awanturę opowiem.

— I jak nas tylko co nie roztratował.

— Koń był daleko —

— Dla czegożeś krzyknęła?

— Alboż ja wiem!

Tak rozmawiając, szły wysadzaną topolami drogą, ku dworowi, który już biał na wzgórzu w kłąbie zielonych olch i wysokich starych dębów.

Julja gwarzyła i szczebiotała wesoło. Marja milczała, uśmiechała się lub odpowiadała jej krótko. — A blondynce tak było pilno pochwalić się awanturą na przechadzce, że im bliżej starego dworu, tym szybciej spieszyła i biegiem już prawie wpadła na dziedziniec otaczający obszerny dom cały zasadzony jaśminami, bzami, akacją, cały jaśniejący kwiatami. Wszędzie ich było pełno: róże, malwy, floxy, gwoździki, lewkońje i tysiące innych, właśnie w całej krasie, krajowych i oswojonych kwiatów, ścisnęły się pod płotami, obejmowały dom, zalegały środek dziedzińca. — Ganek dworu ubierała winna latorośl, powoje, róża wijąca i kapryfoljum różowe i czerwone. Pod oknami rzędami stały wyniesione wazony ustawione w szeroką ulicę. —

Dziedziniec łączył się z ogrodem, w którym także niezmierne bogactwo kwiatów rwało oczy. Na zielonej murawie w białych koszach, wśród dębów rozłożystych, iskrzyły się najświetniejszymi barwami rzadkie i nie rzadkie, a piękne tylko łąk i lasów całego świata mieszkanki. — Po za dębami widać było wodę, altanę z dębu i brzeziny i zarośla bez końca, w kształtne powycinane klomby. —

W takim wieńcu zieloności i kwiecia stał dwór stary o wysokim dachu, o pierzastych kominach, na wysokim wzniesiony podmurowaniu. Jak sarneczka wbiegła do sieni Julka z powolniejszą daleko Marją. —

— Chodź do babuni, chodź zawołała, powiemy jej nasze spotkanie — I pociągnęła towarzyszkę do salonu, który kilka drzwiami szklannymi wychodził na ogród. Ganek,

drzewa i kwiaty, których i tu pod oknami pełno było, zaciemniały spokojny ten kątek; — poważny i smutny jak przeszłość. Wśród wielu nowych dodanych świeżo błyskotek, odwieczne sprzęty innych czasów odbijały swym skromnym wdziękiem. — Znać nie odważono się ich wyrzucić, ale trzpiot wnuczka, niemając wcale szacunku dla starych krzeseł, kanap i zwierciadeł w porcelanowych ramach, usiłowała je upokorzyć wprowadzając co tylko mogła nowego. Nie bardzo się jej to przecie udawało: białe ze złotem meble, pokryte karmazynową trypą, która osłaniała także ściany w misterne ramy złożone ujęta, wcale nie wstydziły się przy zielonym safianem wybitych fotelach z mahoni dość grubo i pospiesznie wyrabianych.

Jedno wielkie zwierciadło w pięknych złożonych ramach, wydawało się jakimś dorobkiewiczem niesmacznym przy lustrze w porcelanowych okładkach, które mu nie ustąpiło placu. Stare portrety rodzinne, angielski dywan na podłodze, trochę wytwornych nowych cacek i fortepiano palisandrowe, ubierały resztę salonu, po którym i przeszły i terazniejszy widać było dostatek.

Z salonu weszły dziewczęta do drugiego pokoju, podobnie do pierwszego, ale skromniej przybranego. Tu także były stare i same tylko stare sprzęty. Na kominie zegar brązowy z porcelanowymi ozdobami, wskazywał szóstą godzinę. Drzwi w pół otwarte wiodły do przyścianego pokoju babki. — Skromny był on i niewielki; jedno okno na ogród wychodzące, światło mu dawało; pod oknem był stolik założony różnemi gracikami w porządku ustawionemi. Piękna szkatuła, mały podróżny zegarek leżący na czterech nogach brązowych, kilka książek, krucyfix hebanowy z figurą ze słoniowej kości, trochę kluczków i papierów. Dalej stało łóżko pod adamaszkowym pawilonem, kanapka włosieniem skromnie wybita z brązowemi ćwiekami, kilka podobnych krzesełek z wyginanemi poręczami. Nad kominem portret mężczyzny w dawnym polskim stroju z podgoloną czupryną i wesołą twarzą, jakich już dziś niewidać. Między stolikiem a łóżkiem, na wygodnym fotelu ze stołeczkiem pod nogami siedziała staruszka różaniec i książkę nabożną trzymając w rękach. Piękne były rysy jej twarzy, a ze spokoju, którego na nich panował, czytała przeszłość czystą i cnotliwą polskiej matrony!

Prosta, niewiele umiejąca, ale pełna rozumu i serca, starościna mogła być wzorem niewiasty naszej przeszłych wieków, o której zapomniano dzieje, milczą więgi, lecz podanie włożyło na jej skroń gwiazdzistą i promienną koronę.

Pobożność, męztwo, dobroć niewyczerpana, powaga cnoty, czystość dziecinna, — oto co odznaczało niewiastę naszą do XVIII. wieku. Nikt o niej po za domem niewiedział, lecz wszyscy czcili i błogosławili ktokolwiek zbliżył się do niej. Nie była to zalotności pełna Francuzka, której życie trwało tyle co piękność; ani marząca Niemka, więcej w dumaniach niż na ziemi zrosła; ani sztywna Angielka, dla której przyzwoitość droższą jest od samej cnoty: żywa choć poważna, łagodna i surowa razem, wielka, bo zawsze pani siebie samej; — w sercu miała skarby poświęcenia i dobroci, choć usta była milcząca, choć skąpa na słowa. Życie jej więcej było czynem niż słowem i myślą. Usta modliły się, ręce pracowały, serce kochało w Bogu i Boga — Nigdy myśl nawet nieczysta nie sprowadziła majestatycznej matrony w kałuże ziemi; nic ją skalać, nic świętego jej spokoju zachwiać nie potrafiło. Życie całe było dla niej dobrowolnem, milem spełnieniem obowiązku, czystą ofiarą, nieustannem poświęceniem wśród zapału religijnego, który oświecał i ogrzewał na każdym kroku. Wiara zbroiła ją na wszystkie wypadki życia: w szczęściu dziękowała Bogu lękliwie, niedowierzając pomyślności, bo była ziemską, a zatem znikomą; w przeciwności rosła, mężniała, olbrzymiała, nabierała sił niespodzianych, wznosiła się do heroizmu. — W ówczas walka nie nużąc ją, zdawała podsycać w niej życie.

Swoich kochała bez granic i dla nich mogła grzeszyć zbytkiem przywiązania, które niezawsze objawiało się dla ich przyszłości zbawiennem, pobbłażała im, pieściła, usiłując ozłocić ich życie, ubezpieczyć przyszłość; dla obcych, w których widziała posłańców Boga, dla obcych, nieszczęśliwych i ubogich dobroczynną była nietylko datkiem, nietylko chlebem, ale współczuciem, duszą, braterską pieczę i litością serdeczną. To co my zwiemy światem, a co jest wrzawą i zgłębkiem potrzebnym dla tych, co spokój stracili lub cenić go nieumieją — nieuśmiechało się jej wcale, nie nęciło, straszło raczej dla siebie i drugich, niżeli pociągało.

Dnie jej spływały jednostajne, od kolebki do grobu nieznacznie wiodąc, bez wielkich wstrząśnień, bez zmian nagłych, wolnym i równym krokiem. Na tej skromnej tkaninie

przeszłości, błyszcząły gdzie niegdzie złote nici i czarne pasma, jak granice, na których wstrzymało się życie weselem lub boleścią. Lecz po nich szły znowu szare jednostajne dni spokojne, modlitwą i pracą barwione.

Taką była starościna babka Julji, którą widzimy siedzącą w krześle z xiążką i różańcem w ręku. — Była — bo teraz wiek ją znacznie odmienił. Ze wszystkich cnot, niewyczerpana dobroć i łagodność, najsilniejsza w niej zawsze, teraz wszystkie inne w sobie zamknęła. Męztwo i *rozum serca*, którym dawniej widziała tak jasno wszystko, choć przyczyny nie badała, choć z wiedzy nie zdawała sobie sprawy, zakrzepły w staruszcze. Modlić się i kochać pozostało jej tylko.

Kochała też wnuczkę z żywością, z namiętnem prawie wylaniem się dla niej, nią żyła, nią oddychała, drżała o nią i w modlitwie nieraz czuła się grzeszną przeciw Bogu, bo przywiązanie do wnuczki przechodziło granice, które w jej przekonaniu wiara oznaczać była powinna.

Żywo wbiegła Julka do pokoju staruszki i uklękła przy stołeczku całując jej ręce.

— Otożes się złatała! łagodnie głaszcząc ją po czole, odezwała się staruszka.

— A jakże lecieć nie miałam, odparła szybko Julka kładąc głowę na kolanach starościnej, kiedy wystaw sobie babuniu, mam ci opowiedzieć taką śliczną awanturę.

— Awanturę! Jezu Panie! alboż —

— Słuchaj no babciu i nie trwoż się, bo nie ma czem. Jak cię kocham, coś bardzo ciekawego i pięknego. —

— No, to mówże mi prędzej, przestraszyłaś mnie. —

— Wystaw sobie droga babciu, poszliśmy z Marją w dąbrowę, tuż za topolową ulicą, i nabiegawszy się za kwiatkami, usiadliśmy pod dębami spocząć. Gadamy, gadamy — o już tego ci niepowiem babuniu cośmy tam mówiły, bo byś mnie niezrozumiała i nazwała być dziecięciem: — aż w tem hałas, szelest, tentent —

— Jezu! cóż to było!

— Śliczny młody chłopiec na pięknym siwym koniu, który o włos że nas obie nie stratował. —

Staruszka zakryła sobie oczy.

— Ale posłuchaj babciu, konia wstrzymał, przeprosił nas, przemówił słów kilka i przesadziwszy przez rów na swoim siwym, zniknął nam z oczów. —

— Któż to by mógł być?

— Właśnie najśliczniej że nie wiemy kto — nieznajomy i dosyć!

— Młody, stary?

— Ale naturalnie, że młody i piękny mężczyzna.

— A! ty trzpiocie najdroższy...

— A żeby babcia wiedziała jaka męzka postawa, jak dokazywał na koniu, jak mu pięknie było choć w siwej sukmance. —

— Tyś się bardzo przelękła —?

— Troszeczkę. Marja podobno więcej odemnie.

— Ja!

— Ale nie zapieraj się! Mnie to przynajmniej zabawiło, rozweseliło zaraz, a ty dotąd tak jesteś chmurna.

— Kiedyż ja jestem inaczej? spytała po cichu towarzyszka.

— Teraz kochana babciu, paplała Julka całując ją w ręce — ten nieznajomy ze swoim koniem zajęchał mi w głowę tak, że muszę się dowiedzieć kto ón jest, co za jeden?

— Julku! co pleciesz!

— O! jak babunię kocham, że nie plotę, zaraz zrobię śledztwo, przegład jak najściślejszy sąsiadów i muszę odkryć kto to taki. Mam do niego i trochę pretensji. —

— Za przestkach?

— Ale nie. Mógł przecież widząc dwie młode i ładne panienki, bo juściż obie w swoim rodzaju jesteście bardzo ładne, mógł zsiąść z konia, zarekomendować się i dłuższą poprowadzić rozmowę — nieprawdaż babuniu?

— Nie, moje dziecko. Właśnie najrozumniej zrobił, i za to go bardzo szanuję, że pokłoniwszy się, jak należało, przeprosiwszy, pojechał sobie dalej. —

— Ale to obraza mojego majestatu, przerwała wnuczka. Jakże! podobno się nawet nie obejrzał.

— O! już szukasz nadaremnej przyczepki, byłam świadkiem, że się oglądał, przerwała Marja.

— I ty przeciwko mnie! Babuniu! każ jej klęczeć, buntuje się przeciw swojej najlepszej przyjaciółce.

Jeszcze chwilkę w ten sposób ciągnęła się rozmowa, gdy wniesiono kawę dla staruszki. Właśnie Julka najpocieszniej dopominała się o wywiedzenie o swoim nieznanym, gdy Wojciech stary sługa pani starościny wniósł na tacy imbryczek, filizankę i dwie grzanecki.

Nieobejdzimy się bez bliskiego zapoznania z panem Wojciechem: był to dawny pacholik starosty, potem pokojowiec, aż nareszcie kamerdyner starościny od śmierci jej męża. Siwy i stary, ale rzeźwy i prosto się jeszcze trzymający, z wesołą twarzą, dobroduszości pełną, wszedł pan Wojciech do pokoju. Ubrany był w szpencer szaraczkowy, z którego jednej kieszeni ogromna wyglądała tabakierka, w jednym uchu kołysał się ogromny złoty kółczyk złoty; chustka czarna z wielkimi końcami, na wysokiej duszy obwinęta, podtrzymywała głowę jego już może mającą ochotę trochę się na karku pochylić. — Wygolony świeżo, choć włos byłby mu może pokrył gęste zmarszczki wcale niepożądane, na ustach miał uśmiech prawie młody.

Uśmiech ten i żywo biegające oczki, a razem dewizki od zegarka, misternie zawiązana chustka i kółczyk, zdradzały słabość nieszczęsną, która życie pana Wojciecha zatrzymała. — Kochał się! — kochał do siedmdziesięciu lat bez ustanku i dotąd ożenić się nie mógł — a że tego pragnął! i jak pragnął — wiedzą co go znali. — Miłość była życia jego żywiołem, jasnym słońcem dnia, który niestety skłaniał się już bardzo ku zachodowi.

Nie było w garderobie pani starościny piętnastoletniego dziecięcia, do którego by niewzdychał pan Wojciech, którego by wzajemności nadzieją nie miał prawa cieszyć się choć godzinę. Służył też swym ulubionym z poświęceniem godnym lepszej nagrody — wszystko co miał było dla nich, karmił je, woził, sprawiał wieczorki, kupował prezenta, a nigdy potem zdradzony, nie pożałował nawet swych ofiar — kontentował się przekleństwem na *pleć niestałą i zdradliwą*. Naówczas to sypał z za rękawa w kredensie anegdotki o niegodziwości kobiet i przewrotności ich charakteru świadczące, klnąc się, że nigdy póki życia, więcej na żadną nie spojrzy. Przecież nazajutrz kochał się znowu. Był to już nałóg taki, a w siedmdziesięciu latach ktoś się wykuruje z zastarzałego nałogu? — Zresztą był to najpocziwszy, najlepszy człowiek, wszyscyśmy słabi, przebacmy mu.

Gdy Wojciech z kawą starościny wszedł do pokoju na palcach, uśmiechając się i wdzięcząc, a głowę bardzo prosto usiłując utrzymać, Julka porwała się żywo i chwytając go za rękę spytała.

— Wojciechu! znasz wszystkich w sąsiedztwie.

— Jakże pani? a kogożbym nieznał, toż to już — (zadławił się liczbą, nie widząc potrzeby wdawać się w kompromitujący rachunek) — już — dawno dosyć tu mieszkamy.

Staruszka bojąc się żywości wnuczki, dała jej znak i sama poczęła wypytywać starego Wojciecha.

— Bo to mój kochany Wojtku — ktoś Julcię w lesie przestraszył!

— Jako JW. pani? w lesie?

— Na siwym koniu, jakiś młody człowiek, tylko co ich nie roztratował.

— Na siwym koniu! młody człowiek! rzekł nakrywając serwetę Wojciech mocno zadumany. — Młody człowiek na siwym koniu! Zaś! któżby to był? Pan Ciemięga.

— Ależ go znamy i nie młody. —

— Jużciż niema czterdziestu.

— Julka śmiać się zaczęła. — Ale to bardzo młody człowiek.

— A! bardzo młody człowiek! to może pan Tadeusz.

— Zmiłuj się!

— Ten nie ma jak trzydzieści kilka.

— Ależ my tych panów znamy, to ktoś całkiem nieznanomy. —

— Któżby to mógł być całkiem nieznanomy! A jakże proszę panienki wyglądał?

— Przystojny, słuszny, ciemnego włosa, koń pod nim siwy, na nim sukmanka, róg i strzelba.

— Koń siwy! nawet wierzchowca siwego nieznam w sąsiedztwie. Tylko u xiędza proboszcza w dyszlu chodzi hreczką zasiana kobyła.

— Julja pękała od śmiechu. — Ale mój Wojciechu to koń prześliczny! mówię ci prześliczny i nosił go.

— Piękny kiedy nosił! no! no! Dalipan trudno zgadnąć, ktoby to mógł być taki. I jakby dla podsyceń myśli opieszalej, Wojciech zażył tabaki sowicie, cofając się do drzewi.

— Przecież, mówił dalej powoli, znamy całe sąsiedztwo.

— Właśnie to i mnie dziwi, przerwała Julka, ale poszukaj no tylko po głowie, może i nie wszystkich znamy.

Wojciech się uśmiechnął. — Już ci rzekł — znamy co jest lepszego, a tej tam drobnej szlachty i szlachetków, ktoby ich liczył!

— Kochany Wojciechu, ludzie to jak my! pracowici, poczciwi — czemuż ich już za nic rachujesz.

— No, ale bo widzi panna, rzekł stary poprawiając się — żaden z tej szlachty nie może mieć pięknego siwosza wierzchowca, więc —

— A nikt że nam nowy nie przybył w sąsiedztwo, żaden młody człowiek, coby gdzie był w podróży długo, na naukach lub podobnie. — Stary skrobał się po wyczesanej czuprynie, której siwiznę napróżno farbując, utrzymywał, że był winien nie wiekowi, ale używanej dla połysku pomadzie. Nie — zdaje mi się, że nie. —

— Więc tem dziwniej! zawołała Julka.

— Dajże pokój pytaniom, łagodnie przerwała staruszka — dzięki Bogu nic ci się nie stało, a na co ci ta próżna ciekawość. —

— Moja babunieczku, wdzięcząc się odpowiedziała po cichu wnuczka — coby też człowiek był wart bez ciekawości? Przytem jestem kobieta, a nas już tak za tę wadę okrzyczano, że możemy jej sobie pozwolić, bo czy ją będziemy miały czy nie, zawsze ją nam przypiszą.

Starościna pocałowała ją w czoło, śmiejąc się, a Wojciech zabrał tacę i zamyślony oddalił się.

Przez cały czas opowiadania i rozmowy Marja siedziała dalej trochę, ze spuszczoną głową, milcząca i niekiedy tylko uśmiechem dawała wiedzieć, że słyszy co koło niej mówią, choć widać było, że ją to nie wiele obchodziło. Niekiedy jakby z zazdrością spojrzała na wesołą Julję. — Lecz była li to zazdrość czy politowanie? I dla czego Marja tak młoda jeszcze, tak już była smutną? Opowiedzmy jej życie, przez nie najlepiej poznamy charakter Marji: przeszłość nasza to my sami.

Marja była daleką krewną starościnej; rodziców straciła wcześniej, i nim się dostała do domu terazniejszej swej opiekunki, dziwne przebyła koleje. Dzieckiem dostała się w ręce opiekuna, który zmarnotrawiwszy swoją majątność, czyhał na spadek po Marji. Sierota w zapomnieniu i nędzy prawie spędziła dzieciństwo; później rozwijająca się jej piękność nagle zmieniła myśli starościnego rozpustnika, który straciwszy żonę, niemając dzieci, zamierzył ożenić się z Marją, nic przewidując, aby bojaźliwe dziewczę sprzeciwić mu się miało. Nagle oddano ją na dwuletnią naukę, ustrojono, opatrzone we wszystko i opłacono sowicie najemną opiekę *Madame*, której powierzona została. Tu Marja spędziła w rówieńczyku towarzystwie najśladźsze dwa lata życia; lecz po nich gdy rozwinięta na umyśle, poznawszy świat i uśmiechnąwszy się ku niemu, powróciła do opiekuna — jakie ją czekały cierpienia!

Stary wdowiec wszelkich używał sposobów, aby opór niespodziany Marji pokonać i zmusić ją do ślubu. Biedne dziewczę całą siłą przeciwowało się temu; starzec nie zważał i występkiem najszkaradniejszym dopełnił miary dawniejszych. Wkrótce potem zużyty, zgrzyziony, jak bydle skonał, śmiejąc się z życia, szyszcząc z sieroty, pytając gdzie jest Bóg co karze. Biednej Marji oswobodzonej pozostała wolność, której użyć niewiedziała jak — sama jedna była na świecie, młoda a zwiędła, z sercem czystym a skalana, znużona życiem nim je poznała. — Szczęściem starościna dowiedziała się o dalekiej krewnej i zabezpieczywszy majątek, którego opiekun stracić niemógł, wzięła ją do siebie.

Obejście się szkaradne starca było tajemnicą pokryte i tej tylko winna była Marja, że starościna nie wahała się przyjąć ją za towarzyszkę dla Julji. Nikt nie wiedział przeszłości, a przecież oplakiwała ją sierota i za cudzy pokutowała występki. — Przyszłość była dla niej zamkniętą. — Bóg tylko i klasztor pozostały jako jedyna ucieczka. Starościna przecież

wiedząc ją majątną, młodą i piękną widząc, niechciała pozwolić, żeby się w klasztorze zamknęła. A gdy sierota prosiła o to ze łzami, odpowiadała jej: —

— Poźniej, dziecię moje, poźniej. — Lepiej się namyślić trzeba, ofiarując Bogu. Gdybyś raz jeden potem miała żałować ofiary, zniszczyła byś jej wartość, dziecię moje.

— O! ja nie pożałuję jej nigdy!

— Niewiesz! młoda jesteś, poczekaj. —

I Marja zmuszona pozostać na świecie, bo czuła w duszy, że oddać się nikomu nie mogła, splamioną będąc bez grzechu, bez kłamstwa — szła dalej a dalej nieśmiejąc nawet spojrzeć na świat i ludzi. Dla niej nie było obojga. —

Kilka dni upłynęło od owego wieczora, który dotąd niewyszedł z pamięci Julki; dopytywała ona troskliwie wszystkich o swego nieznajomego nietylko domowych, ale sąsiadów odwiedzających Dąbrowę, napróżno śmiano się z trzpiota i ona sama z siebie. Babka zakazywała na próżno tego zajęcia niewiedzieć kim, niewiedzieć dla czego? ale młodemu dziewczęciu, tak samowolnemu jak Julka, zakazać było najtrudniej. Zakaz ją jątrzył, niepodobieństwo nęciło, tajemnica podbudzała, a nieznajomy wyrastał w ślicznej jej głowce na bohatera. Marja naprzód usiłowała przekonać krewne, że to był ktoś zapewne przypadkowo w tych stronach przebywający, że odjechał, że go więcej niezobaczą. Na te słowa Julka porywała się jak lwica, i uderzając rączką po stole, wołała — nieprawda! nie! ja go muszę widzieć! to być nie może. —

— Dziecię drogie, cóż to — czyś go już pokochała — czy co? bo prosta ciekawość nigdy tak namiętną nie bywa.

— Tak, moja droga mentorko, ale że u mnie twej najniższej sługi wszystko jest gwałtowne, dziwne i niepospolite, moja więc ciekawość przybiera też pozór niezwyčajny.

— Czemże będzie twoja miłość?

— O! kładąc rękę na sercu odparła Julka, zobaczysz — zobaczysz! mówiłam ci pamiętasz tego wieczora, gdyśmy go spotkały — miłość moja nie będzie podobną do niczego, co to wy tem nazywacie wieńcem. Będzie to kwiat aloesu, co wystrzeli raz w życiu, ale ludzie mogą się zbiegnąć, żeby go zobaczyć —!

Marja westchnęła i spuściła oczy. —

Wieczór znowu wyzywał na przechadzkę. —

— Chodźmy, zawołała Julka, pod dęby, gdzieśmy go wówczas spotkały, a nuż się tam znowu ten król sylfów ukaże?

— Patrz, chmura na zachodzie czarną ławą stoi.

— Ty się boisz burzy?

— Wiesz, jam sierota, nawykłam się lękać i boję się wszystkiego. —

— Biedna moja! ale zemną czegoż byś się bała — a przytem burza daleko, jeśli przyjdzie, to chyba w nocy; pójdę, babci się opowiem, żeby nie myślała żeś uciekła i — pójdziemy. Dla większego bezpieczeństwa Staś ogrodniczek pójdzie za nami.

— Jak chcesz, jam ci posłuszna. —

— Posłuszna! ja bo niechcę twego posłuszeństwa — a pójdiesz że z ochotą?

— O! z ochotą, odparła uśmiechając się Marja, ty wiesz jak lubię lasu ciszę i przechadzkę, cóż dopiero z tobą.

Julka już porwawszy kapelusz poleciała do babki, powróciła od niej i narzuciwszy szalik na białe ramiona, zawoławszy Stasia ogrodniczka, pociągnęła Marję za sobą w topolową ulicę.

Długa droga polem i lasem ciągnąca się przed niemi, którą obie ciekawym mierzyły okiem, pusta była zupełnie. Przyszły rozmawiając pod stare dęby i wysławszy Stasia, żeby im kwiaty leśne zbierał, zaczęły rozmowę.

O, młodych rozmowo! ze złocistych wyrazów, z złotych myśli złożona, któż cię powtórzy taką jaką ty jesteś, gdy z ust różowych wylatują. O myśli młode! o uczucia młode! co jak białe chmurki przelatujecie bez powrotu, któż was odtworzy w całej krasie, lekkości, z całą duszą waszą? Nie! nie! to są niepowrotne zjawiska, a wspomnienie daje tylko skelety — nic nie odtworzy tych myśli i wyrazów. Poźniej i poźniej i myśl i słowo sunie się po ziemi, jak czarny dym na slotę; ale w tych latach wybranych, jakże daleko niosą skrzydła po obszarach zaczarowanych, jak słodko leci myśl z nadzieją, z uśmiechem i miłością?

Nikt młodej niepowtórzy rozmowy — może aniołowie w niebie, a drudzy młodzi na ziemi. Ale nam starem sercem, starym wiekiem, zużyтым i złamanym, gdzie wyżebrać duszy tyle ile jej ma młodość, z kąd wyżebrać jej skrzydeł? Tak! ona jedna ma skrzydła, może skrzydła Ikara, ale jak miło podlecieć niemi, choćby paść potem i utonąć.

Julja mówiła, słuchała Marja i rzadko tylko rozczarowanej tęskne słowo smutne, głębokie jak nieszczęście, przerwało ptasze szczebiotanie dziewczęcia, co życie swe całe puszczała z ust wyrazem.

W tem zaszeleściło za niemi — sądziły obie że Staś ogrodniczek powracał. — Julja krzyknęła i porwała się. Nieznajomy na białym koniu, ale powolnym stępem, zbliżał się ku nim.

Zamyślony, podniósł głowę dopiero gdy je zobaczył i z uśmiechem skłonił się Julce, której oczy jak w tęczę wlepione były w niego.

— O! co teraz, szepnęła Julja do Marji, to go niepuszczę aż mi się zaprezentuje.

— Dziecię, zlituj się, przerażona zawołała towarzyszka — zrobisz dzieciństwo.

— Niebój się — będę bardzo rozumna.

Nieznajomy zatrzymał się o kilka kroków. Przepraszam, rzekł: przestraszyłem panie znowu, potrzeba takiego wypadku, żebym już drugi raz zablądził w cudzy las i zawsze tu.

— Widać, żeś pan obcy w tej stronie; rzekła Julka.

— Tak, od niejakiego czasu, rumieniąc się odpowiedział młody chłopiec — chociaż

— Ja niepojmuję jak tu zblądzić można, lasy nasze tak małe.

— Ale góry i wąwozy, jamy, dla kogoś, co ich zapomniał, całkiem bałamuca.

— Pan jak widzę lubi polowanie.

— Niepojmuję mężczyzny mojego wieku, coby konia i strzelby nie lubił. Ale ja paniom przerywam rozmowę, a nieznajomy, obcy niepowinienbym nawet i słowa przemówić. To przeciw wszelkim zwyczajom.

— Na wsi nie jesteście tak ceremonjalni.

A! co za ładny konik! zawołała Julka przypatrując mu się i usiłując już urywającą się zawiązać znowu rozmowę.

— Konik mój, *Lebed'*, prawda że piękny, ale cóż jego piękność przy jego przymiotach.

— Najważniejszy że nosi.

— Tak, — śmiejąc się odpowiedział nieznajomy, ale mnie wybornie zaniósł.

— W istocie, tylko co nas pan nie roztratował, — to wybornie.

Marja napróżno ciągnąc za szalik, chciała Julję od rozmowy powstrzymać, ta jej się zupełnie zbuntowała.

— Ale widzi pani, jak teraz spokojny —

— Cóż kiedy daleko piękniejszy mi się jeszcze wydawał gdy nosił.

— O! chciał się oswobodzić!

— Pan mieszka daleko? niecierpliwie spytała Julka.

— Nie bardzo.

— Bo słońce zachodzi, a może —

— O! spojrzął na słońce — Lebed zaniesie mnie, choćby o mil trzy przed zachodem słońca.

Marja nic nie mówiła, niespokojna, tylko okiem mierzyła nieznajomego ciekawie, smutno jak zawsze; on także kilka razy spojrzął na nią.

Nadszedł ogrodniczek z ogromną wiązką kwiatów, i to przerwało rozmowę. Niebyło czem związać zerwanych roślin, i gdy się około nich zajmować poczęła Marja, nieznajomy skoczył z konia lekko, dał go w ręce Stasiowi, a sam odwiązawszy zielony sznur od myśliwskiego rogu, ofiarował go do skrępowania rozsypujących się starodubów, pełnych róż i kampanulli. Obie panny przyjąć niechciały tej pomocy, a zręczna Julja po naleganiu nieznajomego, już sznur trzymając w rękę, zawołała:

— Najprzód od obcych i całkiem nieznajomych nic się nieprzyjmuje, powiesz więc nam pan kto jesteś, powtóre powiesz gdzie mieszka, bo chcemy ten piękny sznur panu odesłać, otóż wybornie byśmy i bez niego się obeszyły.

— Kto jestem, rumieniąc się powtórnie rzekł młody chłopiec, mówić nie warto, gdzie mieszkam? sam nie wiem. Dziś tu, jutro gdzieindziej. I czoło mu się zachmurzyło widocznie.

— Chcesz nas pan intrygować. —

— Nic a nic, ale powtarzam paniom, moje nazwisko obce nicby niepowiedziało. To mówiąc uklonił się, spojrzął powoli na Julję najprzód, potem na Marję z jednakim wyrazem, zbliżył się do konia i ledwie chwycił za cugle, już im z oczów zniknął.

Julja cała zniespokojona, zawołała:

— O na ten raz, to coś doprawdy niepospolitego, jakaś tajemnica — niechcieć powiedzieć nazwiska!

— Gorzej moja Julko, żeś tak niepotrzebnie wdała się w rozmowę.

— Marjo! ty zawczasie mniszką siebie i mnie chcesz zrobić w dodatku. Cóż tak złego, rozmowa! obojętna!

— Mówiłaś tak żywo.

— Wiesz że inaczej nieumiem.

— Co on pomyśli o nas.

— Co? żeśmy młode i ciekawe.

— A jeśli powie sobie — zalotne?

— Marjo droga, alboż my tego potrzebujemy? mój Boże — nie dość że jednego spojrzenia twoich ciemnych łzawych oczów, moich niebieskich wesołych, żeby upłatać człowieka. — I przyznam ci się, patrzyłam na niego z całej siły, a jeśli go to wejrzenie nie zapali, nie rozmarzy, nie pociągnie, o! gotowam jak ty wstąpić do klasztoru.

— Widzisz Julciu — to już zalotność. Tyś zimna, a chcesz go pociągnąć ku sobie, jest to występkiem, droga moja. —

— Zimna, a któż ci to powiedział?

— A! co ty pleciesz.

Julka pierwszy raz zarumieniona, ukryła twarz na ramieniu towarzyszki, ale rychło podniosła ją śmiejąc się.

— Widzisz jakem cię nastraszyła — ale ja żartowałam tylko; o! wierz mi, to było żartem. Któż się może tak nagle pokochać.

— Siostró — bo mi cię tak wolno nazywać, nikt inaczej nie kocha jak nagle. — Słyszałam, czytałam, wiem — miłość przychodzi z jednym wejrzeniem.

— Doprawdy? możesz to być —? I Julka poczęła żartować, a tak w pół serjo, w pół śmiejąc się doszły do dworu; Marja zwróciła się do ogrodu. Julja do babki, ale wprzód rozwiązała kwiaty i sznur zielony uniosła z sobą. Już w ganku zastanowiła się przyglądając mu bacznie i z uciechą dziecinną postrzegła na kutasach sutych wiszących u końca głoski J. D., zapewne poczynające imię i nazwisko właściciela. Pospieszyła do babki ze swoją zdobyczą, i choć staruszka łąjała ją trochę, choć naganiała rozmowę, a bardziej jeszcze za branie sznura, potrafiła się wytłumaczyć, uniewinnić i pocałunkami a pieszczotami wymówić od napomnień. A bojąc się by wina nie spadła na Marję, wcześniej wszystko wzięła na siebie.

— Teraz, rzekła do babki, musimy koniecznie dowiedzieć się kto to taki. Przypatrzyłam mu się — widać że dobrze wychowany i majątny chłopiec, choć w sukmanie jeździ. Kón drogi i piękny, wszystko koło niego wytworne, bogate prawie — Babciu, to być niemoże, żebyśmy się nie dowiedziały, co to za jeden przecie.

— A jaki z ciebie ciekawiec! kiwając głową rzekła staruszka — już ciż ci dogodzić potrzeba, bo tajemnica główkę ci przepali. — Sięgnęła za dzwonek i w teje chwili prawie Wojciech się ukazał.

— Poprosisz do mnie pana Łady.

— Natychmiast jw. pani. I wyprostowany starzec odwrócił się i wyszedł.

— Teraz dziecię, proszę cię, przejdź za krzesło moje, weź książkę w rękę i jak mnie kochasz do niczego się nie mieszaj.

— Jak mnie kochasz! powtórzyła babunia, a nad to zakłęcie nie było dla Julki większego. — Siadła więc za staruszką i milczała, bo już poważny krok pana Łady dawał się słyszeć w sąsiednim pokoju.

Łada, stary szlachcic, dobrej duszy, tęgiego wąsa, okrągłego brzucha, był rządcą majątku starościnej. Poczciwy człowieczysko, zagorzały myśliwiec, miał tylko jedną wadę, że był gaduła nieznośny, zaczepiwszy go, odczepić się od niego nie było podobna. Od słówka do słówka, z myśli na myśl naskakując, zapytany o pogodę, opowiadał całe życie swoje. —

Miło było spojrzeć na starego Ładę, którego rumiane policzki, wesołe oko, uśmiechające się usta, czoło wypelzłe trochę, ale bez zmarszczka, znamionowały zupełnie szczęśliwego człowieka. I pan Łada opowiadał też, że był bardzo szczęśliwym człowiekiem całe życie, niezapierając się szczęścia wcale; do tego stopnia szczęśliwym, że gdy już żony swarliwej i pijaczki poczynał nie móżdź znieść dłużej — żona mu nawet w sam czas jakoś umarła. Suta czamara granatowa okrywała rządcę, który zbliżając się do progu starościny, począł iść na palcach i nareście uchylił drzwi powolnie, kłaniając się rozweselony, nim wszedł jeszcze.

— Mój kochany Łado, zaczęła starościna, kto też to obcy jakiś, już podobno drugi raz, w naszym lesie i pod samym prawie dworem w dąbrowie poluje? moje panienki już go tam drugi raz spotykają.

— Obcy! jw. pani! obcy! w dąbrowie — jak pana Boga mego kocham, wstyd mi wyznać, ale doprawdy nie wiem. W całej okolicy jw. pani znam wszystkich myśliwych, ale nikt na nasze ziemie się nie zapędzą.

— Przecież mój Łado.

— Jw. pani mi daruje, że nie wiem, ale w istocie, samemu mi wstyd.

— Któżby to mógł być? spytała staruszka powolnie — młody, przystojny, na bardzo pięknym siwym koniu i tak zdaje się coś z pańska. —

Pan Łada słupiał, ramiony ruszając. Że nie wiem to nie wiem, rzekł, ale dowiedzieć się muszę, chociażby niewiedzieć co mnie to kosztować miało. Bo już ciż to takie nadużycie — i co nadto, to nadto! podedworem!

— Zdaje się, że nazwisko jego od D. zaczynać się musi. —

— Jw. pani sądzi? wytrzeszczając oczy, rzekł p. Łada. — Od D.? od D.? —

— Jest bo wiele (bez złej myśli) takich co od D — się zaczynają. A najprzód pan Depczak z Koziej Woli, którego córka poszła za Krzywaczyńskiego z Bzowicz, ale to nędzota; potem Dermański, ale to posesor, i Dazigrodzki — co to był ekonomem w dobrach Radziwiłłowskich i — jeszcze a! Darmula, szlachcic — ale i to uboż. — Wszystko od D — to uboż jw. pani — A żeby tak z pańska coś być miało, to nie wiem, w całej taki okolicy. A chwalić Boga zjadłem tu także nie jedną beczkę soli w tych stronach, ot i u jw. państwa osiemnasty rok, i ludzie mnie i ja ludzi znam. — Zamyślił się. —

Korzystając z tej przerwy starościna, usiłowała go pożegnać słowy: No — to się dowiesz panie Łada, i doniesiesz mi.

— A jakże, jw. pani — muszę się dowiedzieć. Jednakże to coś osobliwego! żebym ja kogo w tych stronach nie znał, a jeszcze z waszecia. —

Byłby nieskończenie prawil, bo już mu się zbierało na wyliczenie systematyczne wszystkich sąsiadów, gdy starościna znowu pożegnała go — więc do zobaczenia.

Rad nie rad wysunął się za drzwi mruczając, ale zaraz w przedpokoju złapawszy Wojciecha, półtorej godziny go wytrzymał po setny raz mu opowiadając, jak w r. 1812 Kozacy go zbili, jak uciekał, jak się w lesie chował, jak mu tam jeść nosiła nieboszczka żona, jak potem przez wdzięczność ją poślubił, jak go gryzła, jak go męczyła, jak umarła, jak po niej płakał i td. —

Wojciechowi nogi od stania mdały, ale wstydził się do tego przyznać, żeby nie przypisano wiekowi, co on sam tylko na znużenie zwykł był składać.

Następne dni upłynęły w zupełnie próżnych poszukiwaniach czynnego p. Łady, który rad z pretextu ugadał się przynajmniej do chrypki. Niepospolicie jednak martwiło go niepowodzenie i przed oczy starościny nieśmiało się stawić. Nikt w okolicy nieznał ani młodego człowieka, ani siwego konia.

Wnosząc z kierunku w którym przybywał, i drogi jaką odjeżdżał, rządcza w jedną szczególniej kierował się stronę, ale nie było kąta któregooby nie splondrował, a napróżno.

W tydzień jadąc wózkami za interesem do miasteczka, na gościńcu spotkał się z nieznanym, kubek w kubek do opisanego mu podobnym; ale nim się przybrał począć z nim rozmowę, siwy koń uniósł go daleko. Pan Łada kazał w czwał jechać chłopakowi za nim, zgubił czapkę, załamał się na dziurawym mostku i klnąc osiadł na kilka godzin wstrzymany złamaniem dyszla i koła.

Prawda że naklął się i nagadał co mógł — ale to na nic mu się nie zdało. —

Już tedy zdawało się niepodobieństwem odkryć dziwnie ukrywającego się gdzieś młodzieńca, i Julka coraz bardziej nim zajęta najdziwniej marzyła, gdy znowu przyszła jej chętka pójść na przechadzkę z Marją do dąbrowy. Napróżno odradzała towarzyszkę; zepsute dziecko niechciało rozumieć rady, a gdy mu zabrakło wyrazów i konceptu, poczynano tak prosić, tak ścisnąć, tak pieścić Marję, że sierota ze łzami w oczach robiła wręcz co chciała Julka. — Oprzeć się jej było niepodobna.

Poszły więc w dąbrowę, znów usiadły na murawie, ale Julka już oka nie spuszczała z gęstwiny, którą dwa razy zjawiał się ciekawy młodzieniec. —

Na ten raz napróżno siedziały do mroku, słońce zaszło i musiały powrócić do dworu. Julka była smutna nad swój zwyczaj, zamysłona i oczy jej zachodziły łzami. Marja choć z bolem serca rozweselała ją, usiłując udać wesołą.

Wymyślała zajęcia, zabawy, czytania, prowadziła do kwiatków, zachciewała grać na cztery ręce, słowem czyniła co mogła żeby rozerwać Julię, ale na próżno. Starościna nawet postrzegła zmianę we wnuczce i przestraszona wzięwszy na bok Marję, rozmówiwszy się z nią, wieczorem oznajmiła, że w miasteczku ma być bal na kościół dany i że należałoby tam pojechać. —

Oddawna starościna sama nie ruszała się z domu, ale w razie potrzeby Marję z Julją oddawała pod opiekę sąsiadki, dalekiej krewnej starosty, pani podkomorzynnej, która podejmowała się z chęcią wozic i bawić piękną Julję. Choć porównanie własnej córki z dwoma pięknymi panienkami niebardzo dla niej było korzystne, przecież ku krzesłom gdzie siadały, płynęła młodzież, mógł się ktoś zająć panną Matyldą; a zresztą dobrze było pochwalić się choć karetą starościnej, jeżeli nie jej pokrewieństwem. Ale Julka dotąd ochocza do zabawy, wręcz teraz odmówiła babce.

— Po co my tam pojedziemy! to będzie nudne! Bal w lecie, kto to widział!

— Ale moje serce, trzeba żebyście tam byli — to na kościół, który murować mają ze składki, z loterii i z dochodu biletów.

— No, to dajmy co potrzeba, a niejedźmy. —

— Jeżeli od nas nikt nie będzie i inni sąsiedzi nie pojedą, — odparła starościna, a oni nie jadąc, nie dadzą nic. To po części obowiązek.

— O! babciu droga, kiedyż ja tak tych balów nie lubię!

— Cóż ci to — niedawno jeszcze wyglądałaś go i dopytywałaś o niego.

— Ale teraz jechać niechcę. —

— Namówisz się, serce moje, zrobisz to dla mnie.

— Każe babunia? I spojrziała na nią.

— Na ten raz — każe. —

— A no, to i pojedziemy!

Natychmiast posłano do podkomorzynnej i poczęli robić przygotowania do balu —

Za trzy dni następował dzień ten uroczysty w powiatowym miasteczku, dzień o którym mówiono od miesiąca, do którego przysposabiano się z myślą zaćmienia balu, którego na podobny przedmiot przed ośmiu tygodniami dany był w drugim mieście powiatowym. Chodziło tu o honor powiatu, nieszczędzono więc niczego, aby daleko za sobą zostawić wspomnienia balu, którym chlubili się sąsiedzi.

Nietylko najbliżsi obywatele, ale wszyscy urzędnicy niezmiernie wzięli do serca pokazać się, wystąpić. Największa sala ratuszowa, od tygodnia bielila się, myła, woskowała, porządkowała i opatrywała w meble napożyczane z sąsiedztwa i z miasteczka. Sam jw. marszałek i jw. marszałkowa obrani byli gospodarzami balu, a że trafiło się raz dla interesów heroldyjnych być jw. marszałkowi w stolicy, obiecywał więc wszystko urządzić po *petersbursku*: tak mówił.

Swiece wszystkie co do jednej były stearynowe, bo w balu o którego przyćmienie chodziło, połowa ich okazała się lojową. Podłogę wywoskowano jak szkło, zamiast Żydów sprowadzono dwunastu Czechów, a bufet podjął się zaopatrzyć Pirati cukiernik, o którego wielkiej umiejętności w swej sztuce nikt niewątpił. Wszyscy wiedzieli, że był Szwajcar i umiał nawet likworowe robić cukierki. —

Ile gratów i rupieci nazwożono do ratusza w ostatnim bal poprzedzającym tygodniu policzyć się nie da. Sama pani sprawnikowa urządziła pokój spoczynku dla tanecznic, sam sędzia zrobił rewizję bufetu, i wykosztował wszystkiego co podawanem być miało; podsedek zaś dobierał wina, i gdy w sąsiednim miasteczku wypito tylko szesnaście butelek

szampańskiego wina, tu przygotowanych było trzydzieści i to daleko przedniejszego. — Wszystkie zresztą butelki były z karteczkami drukowanymi, co im niezmiernie dodawało smaku. —

Po pomarańcze posłano sztafetę do guberskiego miasta, a marszałek w pole hiszpańskiego płaszcza przyniósł sam cztery nadgniłe ananasy do ustrojenia stołu. — Ot tak! rzekł, niech znają naszych! Tylko mi ananasy po wieczery oddacie.

W okolicy z powodu strojów, na które się wysadzano, ruch był niesłychany. Posłańcy latali do miasteczka po kilka razy na dzień, Żydzi uwijali się biedami i oklep, a pani marszałkowej sążnisty kozak zbił się tak w ostatnich trzech dniach, że się położyć musiał. — Listy zapraszające rozesłane zostały z usilną prośbą na wszystkie strony, chodziło bardzo o liczbę osób, choćby ich niebyło gdzie pomieścić.

Marszałek powtarzał ciągle: Będzie *po petersbursku* — *grandioso* moci panie, *grandioso*, co się nazywa! —

Loterja też obiecywała nagrodzić, co honor nakazywał uszczerbić z dochodów biletowych na kościół przeznaczonych. Większa część losów była sprzedana, inne po pierwszej lub drugiej kolei kielichów rozdać spodziewano się. Najpiękniejsze damy, a w ich liczbie marszałkowa mimo czerwonego nosa, prawem urzędu umieszczona, roznosić miała bilety. —

Dzień wielki i pamiętny, zbliżał się — na ostatnich godzin kilka okazało się tak wiele jeszcze do zrobienia, gdyż wszyscy do ostatka coś odłożyli, że w miasteczku gwar i ruch był jak w czasie pożaru. Tego już opisywać nawet niepodobna. — Wszyscy byli jednym zajęci — balem; w obliczu jego równały się klasy towarzystwa, i sekretarz sądu powiatowego zarówno z kancelistą strapczego roznosili ważniejsze rozkazy dopełniające przygotowań stanowczych. Marszałek kłócił się osobiście z Żydami. Sędzia własną ręką przesuwał krzesła i kanapy.

We wszystkich domach przez oświecone okna widać było ubierające się damy, które w pośpiechu i niecierpliwości okiennic nawet pozamykać zapomniały. W ratuszu pozapalane lampy ustawione w dwa rzędy, tłum ludu zbierający się u drzwi i hałas niepospolity, którego na próżno starali się uśmierzyć ubrani paradnie budnicy, zwiastował zbliżającą się uroczystość. Do domów zajezdnych wjeżdżały coraz nowe koczki, karety, koczyki i bryczki.

Całe miasteczko było w gorączce, a chore panie i panowie, zmuszeni pozostać w domu, kłębi słabość i doktorów. Marszałek, który najdokładniejszą miał wiadomość o przybywających i przybyłych przez nadwornego swojego faktora, nie bez pewnej dumy postrzegł, że obywatele sąsiedniego powiatu w znacznej liczbie zwabieni jego balem przybywali. — Pociągnął mocno kołnierzyka do góry i uśmiechając się rzekł, zażywając tabaki od sprawnika: — Niech się przekonają! *grandioso* będzie — *grandioso*!

W tej chwili dano mu znać, że do drugiego pokoju świec stearynowych zabrakło, z powodu że czuły na honor powiatu strapczy kazał gęściej oświecić salę tanców.

— A więc posłać do Chaimkowej. —

— Jw. panie — niema u Chaimkowej. —

— A więc — do Ajzyka. —

— Ajzyk niema także, wszystkie wykupiliśmy.

Marszałek porwał się za głowę. Straszliwy moment, chwila stanowcza się zbliżała; miał że się zbeczczyć używając toju?

— Nie! rzekł — nie powiedzą żem powiat mój opuścił, gdzie o honor jego chodziło, reprezentuję go i niedopuszczę, aby z nas szydzić miano. —

— Ale cóż poczniemy?

— Kupić świec woskowych! zawołał marszałek — tak! droższe są, ale tu nad tem zastanawiać się nie możemy. — Mówiłem — idź do Ajzyka.

Tak dramatyczny ten wypadek heroizmem marszałka i jego przytomnością umysłu pamiętną w dziejach miasteczka — rozwiązany został.

Zresztą wszystko już poszło jak z płatka — Na końcu wprawdzie popiwszy się panowie urzędnicy stare różne niechęci wzajem sobie wyrzucać poczęli i dwóch podniosło rękę nawet na siebie, ale i ta trudność jednym tylko guzem całkowicie się ukończyła. —

My wróćmy do początku balu.

Karety i koczki zajeżdżają przed ratusz z kolei, muzyka brzmieć poczyna, marszałkowa i marszałek z dumą przechadzają się po pustej jeszcze sali. Początek wieczoru oznaczony był na godzinę ósmą, ale już i dziewiąta bije, a dotąd nikogo jeszcze nie ma prawie. Nikt nie chciał być pierwszym. Razem potem ze wszystkich karczem miasteczka wysuwają się powozy i na placyku przed ratuszem płaczą się konie, koła, ludzie, psy, budnicy. — Barjery się łamią, mostki trzeszczą, porządek wśród łajania woźnic, wśród krzyku kobiet wyglądających z powozów, i schrzypłej komendy budników tracących głowy — z wielką trudnością przywrócić się daje.

Ale wreszcie sala czarodziejskim sposobem się napelnia nagle, ze drzwi płyną falą postrojone damy, powypreżani mężczyźni —

Marszałkowa i marszałek witają każdego wedle dostojęstwa i fortuny, rozsadzają, przyjmują. —

Oczy wszystkich zwracają się na ubrania naprzód, i żwawe rozprawy inaugurują wieczór. — Pani B. — ma inpertynenckie pióra. Pani S. — pożyczane perły. — Pani F. — znajomą suknię axamitną, którą zamaskowano tylko nowem ubraniem. — Sekretarz sądu powiatowego odznacza się wspaniałą kamizelką z białej mory haftowanej złotem, i z powodu jej z wielką uwagą chodzi, nieśmie zażyć tabaki i rozrzuca poły wicemunduru, żeby nie powalać. — Wszyscy kancelarzyści, którzy mieli nadzieję zwrócić na siebie oczy przez kamizelki wspaniałe i choć w lipcu axamitne, zgaśli przy sekretarzu. Sam marszałek ma mu nawet jego kamizelkę za złe.

— Marnotrawca! mruży pod nosem. — Sekretarz widzi się być opuszczonym od wszystkich i czuje dumnym wśród zazdrośnych. — Któż im broni tym sknerom sprawić sobie podobną? mówi sam do siebie. —

W drugim końcu ubior pani strapczynej powszechną zwraca uwagę; ma suknię pąsowa z zielonemi girlandami i ogromny turban na głowie. — Sprawnikowa pyta się po cichu sąsiada: — Czy to basza turecki? śmiechy i ruszania ramiony poczynają się.

Lecz sala się wypełnia i tańce otwierają. Wielka narada z kim marszałek pójdzie w pierwszą parę, kto w drugiej poprowadzi jw. marszałkową. Ażeby nikomu nie uchybić, zgodzono się wreszcie, po trzy razy poloneza zaczynać coraz z kim innym.

Podkomorzyna przybyła z Julją i Marją, wyznaczoną zostaje do pierwszej pary pierwszego tańca. Ze strony innych dam, które się zasłaniają wachlarzami i niby tego nieuważają, gwałtowna objawia się opozycja, ruszaniem ramion i puł-uśmiechami zdradzająca. Niektóre spojrzały na mężów, inne na marszałka; ale ten tak jest zajęty sobą i baleem, że nic nie widzi i niesłyszy. Dumnie podniósł głowę i ręką swobodną wyciąga coraz nieszczęsny kołnierzyk do góry; poczerwieniał, spotniał. —

Jest czego! nie mała to rzecz dźwigać na sobie dostojęstwo gospodarza balu w małym miasteczku. —

Julja, Marja i Matylda, wcale niepozorna panienka, córka podkomorzynnej, wzięte do poloneza znikły w tłumie.

Długim szeregiem powiódł marszałek gości po wszystkich pokojach, a zwłaszcza gdzie były świece woskowe. Pamiętne te świece, o których odtąd opowiadać lubił, są zwycięstwa jego nad sąsiady najpiękniejszą kartą.

Czemuż Julcia, tak lubiąca taniec, otoczona młodzieżą, dziś smutnie przeciwko zwyczajowi pogląda po sali, skarży się na ból głowy i wymawia od mazura —? Niewiem. Wzrok jej błądzi do koła; nareście zabrawszy towarzyski poczynają przechadzać się po sali i sąsiednich pokojach. Nagle zastanowiła się utkwivszy wzrok we drzwi i ścisnęła rękę Marji. —

We drzwiach ukazał się nieznajomy. —

— O! co teraz, to się dowiemy o nim, zawołała po cichu, ale wnet tając niecierpliwość, odwróciła głowę i weselsza już poczęła żartować.

Młody człowiek, który w tej chwili ukazał się na sali, ubrany był bardzo skromnie, ale wytwornie. W ubraniu mężczyzny i kobiety jedno nic odznacza smak i położenie towarzyskie człowieka.

Krój sukni, dobór oddzielnych części, małe ozdoby konieczne, barwa i forma różnią na pozór jednakowo przystrojonych. Nieznajomy ubrany był jak najskromniej — frak czarny, biała pikowa kamizelka, czarna chustka, niepostrzeżony łańcuszek zegarka, biały guzik u koszuli, składany kapeluszek pod pachą — włosy miał dość krótko ucięte i zaczesane

bez pretensji, gdy lwy miejskie wszystkie swe konopiate grzywy pozadzierały na tył głowy i wypolerowały jak zwierciadła. —

Wszedł powoli, rzucił spojrzeniem spokojnym w zgromadzeniu i nieznacznie przedzierał się ku środkowi. Że się z nikim niewitał, że nikt na niego nie zwrócił uwagi, wniosła ztąd Julja, że i tu nie musi mieć znajomych. Naprzypadek spytała o niego Matyldy, ale *Tysia* (tak ją spieszczono zwano) przypatrzwszy się przez lornetkę, odpowiedziała — niewiem kto to taki.

Podkomorzyna nadchodząca, niesłuchanie ciekawa kobieta, natychmiast poszła robić śledztwo, co jej z pomocą licznych związków i znajomości, najłatwiej przychodziło. Milczeniem każdy odpowiadał — Dowiemy się — a nikt nieznanego naszego nieznał. Julka niecierpliwiła się.

Nieznacznie i jakby przypadkiem zbliżył się zagadkowy młodzieniec do krzesła, na którym nasze panny siedziały. — Julja niemyślała pierwsza go poznać, czekała żeby im się uklonił, a czekała z biciem serca. Nieznajomy przywitał je, ale milcząco; zastanowił się trochę.

— A, i pan na balu? spytała go Julja.

— Bal na cel tak święty, jakżeby na nim nie być?

— Zapewne, przytem tu wszystkich znajomych zobaczyć można. —

— Ja — niemam znajomych. —

— Jakto? nikogo?

— Nikogo — bo za znajomego paniom, które dwa razy tylko przestraszyłem, liczyć się nie mogę. — Ale ja wolę być nieznanym na takim licznym zgromadzeniu, to daje zupełną swobodę. —

— Tak — zupełną swobodę nudzenia się — odpowiedziała Julja.

— Przepraszam panię, ja się nigdy nie nudzę. —

— A! jakżeś pan szczęśliwy. —

— Szczęśliwy! — i po namyśle dodał, w istocie pani, ja jestem szczęśliwy.

— Pan się przyznajesz do szczęścia! a to coś także osobliwego!

— Spojrzawszy niżej siebie, każdy powiedzieć może, jestem szczęśliwy!

— Ale kto zwykł patrzeć do góry. —

— Chociażby — nie samo szczęście i w górze. —

— Prawdziwie, zadziwiasz mnie pan. —

— Mnie więcej dziwią ci, co nie są jak ja.

Julja uśmiechnęła się. —

— Tańczysz pan? spytała. —

— Nie zawsze.

— Dla czego? —

— O! długobym pani tłumaczyć się musiał. Taniec według mnie powinien być nie nakazaną i zapowiedzianą rzeczą, ale wynikłością wesela, szafu młodości — szczęścia. Jeśli jestem w usposobieniu podobnem, tańczę.

— Ale pan mówiłeś, że jesteś szczęśliwy, powinieneś więc tańcować?

— Szczęście a wesołość, to wcale co innego, odparł nieznanomy. — Nie możnaż być szczęśliwym a smutnym?

O! to już na oryginalność zarywa. —

— Nie wyparłbym się jej, gdybym ją miał, ani bym udawał nie mając. Udana jest śmiesznością największą, naturalną cechą czasem czegoś lepszego, a przynajmniej niepodległego umysłu. — Wracając do tańca — nawzajem panią spytam, czy będzie tańcować.

—

— Choćbyś to pan miał wziąć za naśladowanie, powiem mu, bo tak myślę — i ja także lubię lub nie lubię tańcu od usposobienia w jakim jestem.

— A dziś —?

— Niebardzo. —

— Towarzystwo coraz się bardziej ożywia.

— W istocie mazur ochoczy; ale mnie głowa boli. — Marjo ty byś może tańcowała?

— Ja? nie — krótko odparła Marja i spuściła oczy.

Gdy się ta rozmowa toczy u krzesła Julji, której oczy jaśnieją, podkomorzyna napróżno pyta i rozsyła się dowiedzieć, kto jest ten nieznanomy mężczyzna.

Sekretarz sądu powiatowego widzi w nim oczekiwanego co chwila urzędnika do szczególnych poleceń; marszałek domyśla się jakiegoś wysłańca z sąsiedniego miasteczka dla zdania sprawy z balu dzisiejszego; sprawnik dziwi się że go niezna, a obywatele jednogłośnie obwołali go jakimś obcym intruzem. Zagląda mu w oczy, podchodzą, kręcą głowami — zgadują — napróżno. Nareszcie wynaleziono jakiegoś jegomości, który powiada, że widywał nieznanego na siwym pięknym koniu, polującego w okolicach Dąbrowy.

Po chwili rozmowy odszedł od krzesła nieznamy, przeszedł się po sali, ścigany wielą oczów i jakby przypadkiem powrócił ku Marji i Julji.

Już też koło nich siedziała i podkomorzyna, obiecując sobie wystrzelić wprost zapytaniem w samą pierś tajemniczej postaci.

Poczęto się uskarżać na gorąco, mówić o powrocie do domu i najniezręczniejszemu w świecie podkomorzyna dłużej już wytrzymać nie mogąc, odwróciła się ku nieznanemu z zapytaniem:

— A pan daleko mieszka?

— Nie bardzo.

— Przecież? wszystkich nas to zastanawia, że pan jeden nieznamy nam jesteś? Zapewne gościem tylko w naszych stronach.

— Jestem tutejszy rodem, ale gościem w istocie.

— Godzi się pana spytać? — niedkokończyła.

— Przepraszam panią, rzekł śmiejąc się młody człowiek — wiem jaki urok nadaje każdemu otaczająca go tajemnica i niechcę właśnie stracić jedynej rzeczy, którą się tutaj odznaczam.

— I pan sądzisz, że się nie dowiemy o nim?

— Jestem tego pewny. —

— Wzywasz mnie pan? spytała podkomorzyna.

— Jeśli to pani może zrobić przyjemność.

— Przyjemność? — nie — wolałabym wiedzieć od razu, kto pan jesteś — ale jak skoro się temu opierasz, dowiem się przecie z kąd inąd.

— Przestrzegam panią, że gdyby się jej najszczęśliwiej udało — zawiodę jej zajęcie mną. Ani ja, ani nazwisko moje ciekawe nie jest — zresztą pani je znasz. —

— Ja je znam?

— Tak jest.

— Jakim sposobem?

— Przed kilkunastą laty — nieraz przeszło ono przez jej usta, teraz musiało się zatrzeć w pamięci. —

Podkomorzyną, której ciekawość zaostzona była do najwyższego stopnia, podskakiwała nieznacznie na krzeselku, łamała głowę. — Julja poglądała z zajęciem na młodego człowieka, który całą rozmowę z panią podkomorzyną na wpół żartem prowadził.

Zostawując go u krzesła Julji, zamilkłszy zamyślona jakby od niechcenia podkomorzyna poszła w głąb sali. Tam w kąciuku stał ubogi kuzynek w przerobionym fraku i kamizelce z siostrzynej sukni pozostałości zrobionej, przypatrując się tańczącym, do których nieśmiało się wmięszać, z powodu perkalowych rękawiczek.

— Kaziu! szepnęła mu na ucho.

— Co pani każe —

— Widzisz tego mężczyznę, co siedzi za Matyldą? —

— Widzę pani.

— Uważaj na niego, z oka go niespuść, gdy będzie wychodził, każ Mikicie kozakowi, żeby wsiadł na konia i jechał za nim dokąd on pojedzie. Niech dotrze do miejsca, żeby mi umiał powiedzieć, gdzie mieszka.

— Dobrze pani. —

— Pamiętajże, zrób jak ci mówiłam — a konie twoje każę wziąć na paszę do mojego stada.

Kuzynek który na dwóch chłopkach siedząc, wypasu nie miał, i dawno o tę łaskę się dopraszał, uszczęśliwiony że jego chabety utyją, wytrzeszczył oczy na nieznanego.

Ten ze swego miejsca widział wszystko i uśmiechnął się tylko. W uśmiechu tym było coś boleśnego.

Po odejściu podkomorzynej, znowu się z Julją rozmowa poczęła. — Julja wprawdzie tańcowała w mazurze, ale że ten składał się z trzydziestu par, nieprędko na nią kolej przyszła. Ten trzydziesto-parowy mazur urządzony był przez samego marszałka, któren chciał we wszystkim zaćmić sąsiednie miasteczko, gdzie ledwie dwanaście par w sali pomieścić się mogło.

Rozmowa, której powtarzać nie będziemy, przerywana to tańcem, to mieszającą się do niej osobami obcemi, tak niepospolite zdradzała myśli i dobre wychowanie nieznanego, że Julja co chwila bardziej zaciekawioną się nim czuła.

— Jednak, mówiła w duchu rozpieszczona, chcieć czegoś jak ja chcę, będąc piękną, młodą, bogatą i nie głupią, — chcieć żywo i nie módz dokazać — o! to bardzo upokarza. A chcę tak małej rzeczy! tak małej! wiedzieć tylko, kto on jest? Wezwana do koła w figurze Julja, powróciwszy na miejsce, nie znalazła już swojego nieznanego i spojrzawszy po sali, nigdzie dopatrzeć go nie mogła. Nie ukontentowana, podrażniona, poczęła się skarżyć na gorąco, na ból głowy i widocznie okazywała, że ją zabawa ta nudzi.

Napróżno Marja prosiła i błagała, żeby choć udała wesołość, z którą tak naturalnie objawiała się przed chwilą; napróżno szeptała jej, że tysiące oczów na nią patrzy, — nic nie pomogło. —

Podkomorzyna także niewidząc tajemniczego swego gościa, poszła się upewnić, czy Kazio zrobił co mu poleciła, a Kazio zaręczył, że nieznanomy tylko co był wyszedł i Mikita już miał rozkaz nie spuszczać go z oczów.

Bał przeciągnął się dosyć długo, ale z powodu bólu głowy Julji, podkomorzyna zmuszona była go opuścić nawet przed kolacją. Napróżno marszałek zaklinał łamiąc ręce i najpocieszniej w świecie swoje ananasy, pomarańcze, lody i cukry dla znęcenia wywoływał — odjechały.

Z wielkiem podziwieniem ciekawej matrony, na stancyi w miasteczku, gdzie rozbierać się miały przed odjazdem panie, znalazł się zaspany Mikita.

— A toż co? wróciłeś? spytała podkomorzyna — wszakże kazałam ci. —

— I pojechałem — odparł kozak.

— A cóżeś się dowiedział?

— Nic — rzekł tymże głosem Mikita.

— Gdzież się ten pan podział?

— A djabli go wiedzą. —

— Jakże?

— A taki tak. Naprzód piechoto poszedł na miasto, ja za nim, on do karczmy, ja w ślad. Siedzi, siedzi, i ja siedzę, czatuję — czekam. — Aż kiedy ja patrzę, a on zemknął.

— Jakto?

— Kaciz wiedzieli, że konno miał jechać, a ja bryczki lub powozu czekałem.

Na tem spelzły usiłowania podkomorzynej, która jednak jak zaraz zobaczymy, nie dała za wygraną.

Na samej prawie granicy majątku starościnej, w lasach dębowych, od których miejsce to nazwanem zostało, ciągnęły się wzgórza zaroślami i z rzadka staremi krzywymi dębami pokryte. Pomiędzy nimi był jar długi, środkiem którego wiosną spływały wezbrane z okolicznych wyniosłości wody. W lecie strumień prawie wysychał i porwane tylko brzegi gdzie niegdzie ściśniętego wąwozu, świadczyły o gwałtowności z jaką tędy pędziły wody ku rzece, co je w sobie chłoneła. Jar ten, kawał lasu, łąki i pola otaczające, stanowiły zupełnie osobną posiadłość, bez wsi, zwaną w okolicy Jarowiną.

Na Wołyniu rzadkie są podobne nieosiedlone posiadłości, i ta też winna była szczególnym okolicznościom powstanie swoje.

Dawniej majątność obszerna przytykająca z tej strony do Dąbrowy, a rozciągająca się na parę mil w głąb, z kilką wsi i folwarków, należała do rodziny od kilku wieków tu osiadłej Darskich. — Byli to bogaci ludzie, ale z ojca w syna wszyscy domatorowie: żaden z nich dobrowolnie nie wyszedł na świat szukać losu, to jest większej majątności i znaczenia. Powołani do służby spieszyli w potrzebie kraju, ale dopełniwszy obowiązku wracali w cichy kąt rodzinny. Darscy spokrewnieni byli z wielą domami znakomitemi dawniej, z czego nie szukając chluby, a majątnością swą wcale nie szafując na zbytki; pozostali prawie pogardzeni, a przynajmniej zaniedbani od tych co ich otaczali. — Wszyscy oni zapaleni byli myśliwcy, dobrzy gospodarze, ojcowie swoich poddanych; ale pomimo

zamożności kochali się w prostem życiu, skromnej sukni i żyli bardzo oszczędnie. Dwór ich odwieczny dosyć obszerny wśród rozłożystych drzew stojący, rzadko był nawiedzany. — Kobiety żyły w nim i dożywały lat swych, niewyjeżdżając dalej nad nabożeństwo do parafialnego kościoła, gdzie nawet mało kto je dojrzał, bo się mieszały w tłumie i nie cisnęły do pierwszych ławek. Mężczyźni ledwie wśród zagrodowej szlachty rozpoznać się dali szlachetną postawą, pięknym wzrostem, mężką twarzą.

Oddawna sąsiedztwo pojąć nie mogąc rodzaju życia Darskich, wyszukiwało powodów najdziwniejszych, żeby sobie wytłómaczyć odosobnienie i samotność w jakiej żyli.

— To coś niskiego pochodzenia być musi — mówili jedni.

— Chamy albo mechesy — powtarzali drudzy.

— Kto wie co to za jedni? wszyscy śniadzi, mogą być i cygańskiego rodu. Wszakże niedarmo tak konie lubią.

I tysiączne tym podobne wymysły.

Tym czasem nie troszcząc się wcale oto, co ludzie o nich powiedzą, Darscy żyli po swojemu. Włościanie osiadli w ich wioskach, drobna szlachta, której w każdej potrzebie pomagali po pańsku, jedni błogosławili ich i kochali.

I gdy sąsiedztwo zmieniało powoli obyczaje, przestraszało się, francuziało, traciło majątkość i spadało trzymając ostatka fortunek zrujnowanych, Darscy żyli po swojemu, po staremu, w ciszy, w ustroniu, w zapomnieniu.

Ostatni z Darskich za panowania Stanisława Augusta odegrał niepospolitą rolę w nieszczęśliwych wypadkach ówczesnych, poświęciwszy wszystko prawie co miał, zmuszony po stracie żony sprzedać majątkość odłużoną, z powodu ofiar jakie czynił dla kraju, pozostał na jednej tylko wiosce wkrótce, a i z tej jednej, ostatniej nowe poświęcenia go spędziły. Sprzedając najpiękniejszą ze swoich wiosek, która tak rozległe miała grunta, że nowy nabywca ludźmi osiadłymi obrobić ich nie był w stanie, stary Darski wyłączył dla siebie posiadłość, którą później nazwano Jarowiną. Było to kilkanaście włok ziemi na pograniczu Dąbrowej rozciągających się, złożonych z ornych gruntów, trochę lasu, sianożęci i opisanego jaru. Niewielki kapitalik umieszczony w pewnych rękach i kawał ten ziemi składał ostatek już, wielkiej niegdyś i pięknej fortuny, straconej bez żalu, poświęconej bez westchnienia.

Starzec, któremu syn jednak pozostał, zbudował sobie na wyniosłym brzegu jaru swego, niewielki szlachecki dworek, w którym zaledwie komu znany, ledwie postrzeżony w okolicy, zamieszkał. — Kilka odwiecznych dębów i sosen otaczały domek ubogi ale schludny, objęty do koła niewielkimi budowlami gospodarskimi. — Stodoła, obora, stajenka, gołębnik, loch, studnia z żurawiem, ogródek owocowy, opasywały dworek podniesiony nieco i wyżej stojący.

Słomą posyty, z ganeczkiem na dwóch dębowych słupkach, z ławkami w ganku; dworek starego Darskiego, jak on już się był postarzał, nie zapadł jednak w ziemię i nie skrzywił się jeszcze — trzymał się sztywnie i prosto. Kilka gniazd bocianich na sąsiednich drzewach i dachach ożywiały tę pustynię, w której czterej tylko ludzie zamieszkiwali. Stary Darski, wierny jego dawniej pisarz, dziś jedyny sługa Kasper, stara gospodyni i nie wielki wyrostek, co koni pilnował. — Pastusi sąsiedniej wioski, przywiązani do dawnego pana ludzie, zabierali mu jego bydełko i trochę prostych owiec na paszę. —

Od dworku posunionego na sam brzeg wyniosły jaru, drożyna wykopana na urwisku, z poręczem, wiodła w głąb do studeńki i strumyka. Na przeciwnym brzegu do Jarowiny jeszcze należącym, wprost dworu, nad przechodzącą tędy drogą stał piękny krzyż drewniany, osadzony krzewami i świrkami. — Pod nim leżał prosty kamień, na którym stary Darski lubił siadywać, mówiąc wieczorny różaniec. Myliłby się ktoby sądził, że zubożały i przywalony latami odludek żałował dawnego bagactwa lub uskarżał się na ludzi. Skromne i proste życie, jakie wiodł za młodu, tak było podobne do dzisiejszego, że Darski mógł tylko stęknąć na to chyba, iż mniej dobrego czynić był w stanie. — Nadewszystko dokuczliwym było, że polować i nie bardzo gdzie miał, i nie zdłużał. Nudził się starowina, gdy się nie modlił, lub z Kaspresem i z dawnymi swymi poddanymi o dawnych nie gawędał czasach. Pomimo to nie zaszepiła się twarz jego smutna, ale pogodna spokojem wewnętrznym, piękna rezygnacją i jakąś chrześcijańską odwagą, a dumą szlachetnej duszy, co się czuje na obraz Boga stworzoną. Darski był słuszną mężczyzną, atletycznej budowy, ani wychudłym — ani otyłym; pracowite ale poczciwe życie, ani mu rozlać się i roztyć, ani

wyschnąć nie dało. Trzymał się pomimo podeszłego wieku prosto, sił nie tracił i gdyby nie włos srebrzysty na wysoko podgolonej czuprynie, gdyby nie zmarszczki na twarzy, nie dałbyś mu zdaleka połowy lat jego. — Siwe oczy tylko wpadły głębiej, a brew niegdyś czarna i gęsta, teraz siwa i przerosła, zwieszała się długimi kosmykami włosów aż na powiekę. To mu nadawało wyraz ponury, choć usta z pod potężnego wąsa łagodny uśmiech rozjaśniał. Niemogąc polować z hartami, ani wiele psów trzymać, chodził jeszcze z wyżłem, i mimo lat siedmdziesięciu strzelał celnie, a nogi tak mu służyły, że rzadko zdrowy chłop mógł mu dorównać. Na konia czasami już tylko wsiadał, ale pieścił konie i lubił jeszcze, a choć niewiele ich miał, to pięknych. Były to ostatki niegdyś sławnego polsko-wschodniego stada.

W domku starca czysto było, ale ubogo. Niektóre tylko szczątki bogactw przodków zeszły pod słomianą strzechę. — Dworek składał się z izby dużej, sypialnego pokoju, naprzeciw czeladnej, spiżarni i przybudówki w tyle, która mieściła w sobie skład rzeczy niemogących się rozstawić w ciasnym domku. Były tam kufry papierów, stroje dawne, sprzęty pamiątką oznaczone, dużo xiąg starych, rzędy na konie bogate, siodła wspaniałe i tym podobne pozostałości. W wielkiej izbie domku, która się niczem nieodznaczała od pospolitych folwarcznych izb, bo i belek nie pokrywał sufit, i podłoga była z tarcic, i piec z białych kafel, i stoły a stołki z czystego drzewa prostej roboty; — kilka familijnych portretów dziwiły na ścianach, a piękne szkła i porcelana w staroświeckiej rzezaney i sadzonej szafie u drzwi stojącej, zwracały oczy bardziej jeszcze.

Pomiędzy portretami wisiały trofea myśliwskie i wojenne, rozpięte na lamparcich i końskich skórkach. — Świeciły w nich stare łuki, krasne sajdaki tatarskie, buzdygany, krzywe szable, napierśniki, noże w sadzonych pochwach i wspaniałe złocone hełmy. Były to pamiątki, z którymi stary Darski, w ubóstwie nawet, co mu zresztą wcale nie ciążyło, rozstać się nie chciał.

Na kominie trzy misterne i kosztowne kielichy srebrne rozstawione przy zegarze, zatanawiały wielkością bajeczną. Pojąć było trudno jak ludzie z nich pić mogli. Jeden paw' najmniejszy prawie ze wszystkich, trzymał dobre pół garnca. Ława szeroka dębowa osłonięta dywanikiem tureckim, przed nią stół zawieszony wzorowaną makatą. — Stoły po lewej stronie u drzwi sypialnego pokoju.

Tu u jednego okna stolik biały lakierowany z szkatułką, dalej wążkie i twardą skórą łosią pokryte łoże; nad niem broń, krzyż i gromnica. Po kątach kilka kufrów gdańskich, strzelby, wędki, siatki i berło dla ptaka, którego oddawna niemając, zawsze sobie unosić jeszcze obiecywał pan Darski.

Bogactwa te, któreśmy opisali, tylko jako pamiątki cenione i dla tego przed oczyma zawsze będące, mogły fałszywe obcemu dać wyobrażenie o starcu. Wśród nich odziany w szara kapotę, jadł co jedli słudzy jego, a na posłanie nie potrzebował innego łóżka nad tapczan kilką skórami przysłany i sukienny walek w głowy. — Nie myśl też pochwalenia się ostatkiem dostatku, wywiodła te sprzęty na ściany dworku, — nikt do niego nie zaglądał, chyba wieśniak ze wsi sąsiednich staremu panu, bo go dotąd tak zwali, przynoszący kurę lub jaj kilka.

Kilka pokoleń panów i wieśniaków przeżywszy w świętej zgodzie i patriarchalnym z sobą stosunku, nie dozwoliły ostatniemu z Darskich, ani włościanom, co jeszcze rządy jego pamiętali, zerwać od razu węzłów, które wdzięczność i przywiązanie wzajemne ścisnęły. Pomimo sprzedaży majątku ludzie wiosek Darskiego zwali go zawsze „starym panem,” szli do niego na radę w każdej potrzebie, w święto przynosili mu ubogie podarki, przyprowadzali dzieci, żeby je błogosławił. A że dawny dziedzic znał wszystkie swoje dzieci po imieniu, po twarzy, wiedział ich stosunki, potrzeby, może też i pomagał im jeszcze chętnie, nie było wesela bez jego porady, nie było przesiedlenia, na któreby się nie zgodził, a często gdy stodołę z miejsca na miejsce przyszło przenosić, starzec i o tem musiał wiedzieć. Szacunek, wdzięczność, jakimi go otaczali dawni poddani, świadczyły najdowodniej, że nie są to wcale serca niewdzięczne i niepamiętne, jak się wielu zdaje. Ubogi pamięć ma aż nadto dobrą; prawda że pomnąc dobre, o złem też zapomnieć nie umie. —

Zdziwić to może, iż tracąc majątek, starzec ani dla siebie, ani dla syna, którego kochał za siebie i matkę umarłą — nie pożalował się na dostatek. Tak było przecież, a gdy Kasper

i stary Semen, wielki przyjaciel Darskiego, dawniej leśniczy dziś dziad oślepy, dziwili się temu nie raz, on im ze swoją zwykłą odpowiadał spokojnością.

— Czy to w tem szczęście? Bedzie pracował, to będzie miał kawałek chleba. — Ot lepiej może, boby go majątek na próżniaka wykierował. Albo to wiele człowiekowi trzeba, gdyby miał rozum? — Byle dach, byle strawa, a koń dobry — bo to grunt, a strzelba, i jeszcze zdrowiu w dodatku — ot i po wszystkim.

— A jak się ożeni i da Bóg wnuki.

— Toć i wnukom powiem toż samo. —

I stary brał rożaniec w ręce, szedł obchodzić gospodarkę, modlił się i dumał.

Dłgie tak lata ubiegły w tym kątku, o którego istnieniu mało kto wiedział w okolicy. Nawet podkomorzyna, której nieboszczyk mąż kupił wioskę ostatnią od Darskiego, zapomniała zupełnie o starcu, którego Jarowina odległą była od dworu i położoną w drugim końcu majątności. Nigdy też żadna szkoda, żaden spór sąsiedzki nieprzypomniał jej Darskiego. —

Sąsiedzi, którzy widywali czasem siwą jego kapotę, i siwy wąs, w kościele, gdzie przez chrześcijańską pokorę, stawał w kruchcie z żebrakami, ledwie niektórzy wiedzieli jak się nazywał, w okolicy nazwisko prawie było nieznane.

Syna oddał był starzec naprzód do szkół publicznych, bo mawiał: — Trzeba żeby chłopiec był tam, gdzie są wszyscy, i nie sądził się potem w czemś lepszym od innych, dla tego że go rodzice możniejsi inaczej wychowali. Wielu trutniów, co mieli prywatnych nauczycieli lub wysłani byli za granicę, pozawracali sobie tem głowy i myślą, że on czemś lepszym. — Niech syn mój raczej mniej umie, a wyjdzie na uczciwego i pracowitego człowieka. Zresztą w szkołach najgorszych, kto chce i może się uczyć, nauczyć się potrafi.

—

Ze szkół Jan Darski poszedł do wojska, a gdy na rewji przypadkiem w rękę lewą upadkiem z konia silnie uderzony, służbę porzucić musiał; — ojciec niepozwolewszy mu wracać do domu, wysłał za granicę, potem chciał znów oddać do wojska, gdy bezdzietna siostra umierając, bardzo znaczny, bo zapisami dwóch mężów pomnożony majątek w Litwie — przekazała Janowi. — Jan miał na czem gospodarzyć i usilnie chciał do siebie pociągnąć ojca, ale starzec oparł się temu stanowczo.

— Jak będziesz mógł bywaj u mnie, a chce ci się, to i posiedź, rad będę z duszy — małośmy z sobą żyli — kocham cię jak jedynaka. — Ale ztąd wynieść się — bodaj dla ciebie — nie mogę. —

Chce się umrzeć w swoim kącie, gdzie się żyło, gdzie się pracowało. Nie! nie! nie wyniosę się, umarłbym z tęsknoty.

I całując w głowę syna, starzec tak się opierał, tak tłumaczył, że Jan nie śmiał nalegać. Postanowił tylko dwa lub trzy razy do roku odwiedzać ojca, resztę czasu pędząc w swoim majątku.

Okolica jak niewiedziała o Darskich, tak i o synu i o losie jego wyobrażenia nie miała. Jan przyjeżdżał do ojca, bawił z nim, polował i nie ukazując się w sąsiedztwie odjeżdżał; żeby zaś starcowi nie robić ludźmi i końmi wrzawy i zachodu w domu, zostawiał je w blizkiem miasteczku. —

Pierwszy raz teraz dłużej nieco zabawiwszy w Jarowinie, a mając z sobą ulubionego wierzchowca, wymknął się parę razy na przejażdżkę i polowanie; potem w nadziei może zobaczenia Julji do miasteczka na ów bal. —

Dotąd w dwudziestym szóstym roku życia, przewędrowawszy już nie mało świata, bo w ośmnastym wstąpił do wojska, — Jan jak nie wielu młodych całkiem był prawie obojętny dla kobiet. Czynne życie niedozwalające marzyć i latać myślami, pragnienie nauki i udoskonalenia, zabezpieczyły go od zajęcia uczuciem, któreby oderwało go od celu. Ale serce to nie było zimne, biło już oczekiwaniem i nadzieją. —

Pospolite miłości, rodzące się szybko i mijające chyżo, nie były dla Jana. Czuł że kochać musi i czuł że kochać będzie jedną wielką i całego życia miłością. W sercu miał jakby przecucie jej, ale malujące mu to uczucie czemś poważnem, uroczystem i stanowczem w życiu. Żadna dotąd kobieta nie zrobiła na nim tego wrażenia, które on uważał za zwiastowanie miłości swej; przed żadną nie zadrżał do głębi duszy, nie przestraszył się przyszłości, nie uczył głosu wewnętrznego co mówi: — Tą lub żadną.

A głosu tego właśnie Jan czekał cierpliwie — i doczekał się nareszcie.

W pierwszym wejrzeniu Julji było objawienie magnetyczne przyszłości, która ich połączyć musiała lub nieszczęśliwymi uczynić. Dziwnym trafem, gdy ujrzał Marję i Julję, choć ostatnia większe na nim zrobiła wrażenie, pierwsza także utkwiała mu w pamięci i sercu.

W drugim spotkaniu potwierdziło się pierwsze: oczy Julji i oczy Marji razem uniosł z sobą jeszcze, pędząc zamyślony do domu.

— Miałebym kochać obie? pytał siebie — czy żadnej?

I chciał obie zapomnieć, a niemógł. —

Z kolei czarowne wejrzenie Julji, smutne oczy Marji przesuwały się przed nim we snach i na jawie, pierwsze wstrząsając sercem, drugie wzbudzając nieopisane litości i zająęcia uczucie.

Bał do reszty go rozmarzył: znalazł je znowu razem obie, obie zarówno piękne, zarówno go ku sobie magnetyczną jakąś pociągające siłą. Julja czarowała go wejrzeniem, któremu nic oprzeć się nie mogło, zachwycała go wyrazy, których słuchał jak pięknej pieśni anielskim nuconej głosem; — Marja jak zagadka niedocieczona, jak coś dawno znanego, niewiedzieć gdzie i kiedy, jak siostra z niebios wyciągać się zdawała ręce ku niemu. Myślał, walczył, usiłował sam siebie zrozumieć, niemógł — nareszcie powiedział sobie. — Dwie! to być niemożne! Julję kocham. Tak, Julję!

I wyrzekłszy się Marji, czuł taki żal, taką rozpacz po niej, że wracał jeszcze, mówił znowu — kocham Marję.

Ale wejrzenie Julji odrywało go od smutnej kochanki.

Tak sam już marzył. Czas było wracać do Litwy, gdzie go dość pilne powoływały zająęcia, sam ojciec go wyprawiał — wyjechać niemógł, wyrzec się tych kobiet, z których jedna miała, musiała być jego, nie miał siły.

Po balu cały dzień pozostał w domu, smutny nadzwyczaj, zamyślony, niepewien co pocznie. Stary Darski wyprawiał go na polowanie. To cię rozerwie mój Janie, mówił — dla mężczyzny nic szkodliwszego jak siedzieć w izbie; jemu potrzeba powietrza, ruchu koniecznie. Pod piecem babieje; pocznie się zamyślać, stękać, chorować i po nim. Potem choć weź nim w piecu podpał, na nic się nie zdał.

Ale Jan niemógł się wywlec z domu, czuł się bezsilnym. Stary dumal i wydumal nareszcie, że czas było Janowi się ożenić, począł tedy w tym przedmiocie gawędę; ale syn odpowiedział, że niema wcale ochoty do ożenienia.

— Jakto żebyś asan nie miał do tego ochoty, co Pan Bóg przykazał? rzekł stary powoli. Toć to i czas, choć nie przestarzały jeszcze; ale człek bez towarzysza, to strzelba bez kolby. — Już ciż mi taki na starsze lata wnuka potrzeba, umierać tak niechęć.

— O mój drogi ojczu, rzekł Jan całując go w rękę — pożyczysz jeszcze i da Bóg doczekasz. —

— Ale coś bo waść mi dziś nie w swoim sosie, powiedz no co to jest?

— Nic mi ojczu — tak coś niezdrowo. —

— A na niezdrowie, to znowu niema jak koń i świeże powietrze. To jak ręką ujmuje chorobę — rzecz doświadczona.

Jan ulegając staremu, kazał osiodłać siwosza i zdawszy się na jego wolę, wyjechał z Jarowiny ku Dąbrowie. Koń który kilka razy w tę stronę chodził, po zwierzęcemu puścił się znajomszą już sobie ścieżką.

Tego mu Jan nie bronił. —

W pół godziny stanął w lesie, z którego widać było w oddaleniu dwór, ogród i topolową długą ulicę. Ale w Dąbrowie nikogo — zielone stare dęby szumiały tylko i Jan oprzeć się nie mógł pokusie, zsiadł z siwego, aby pochodzić po murawie.

Dwa krzywe najstarsze drzewa, u których najeżonych pni było siedzenie z darni, wstrzymały chwilę Jana; zwiedły bukiet kwiatków leżał na ławeczce. Podjął go i schował — pierwszy raz w życiu przywiązując wartość do rzeczy, której pochodzenia mógł się tylko sercem domyślać. Coś mu mówiło, że jedna z dwóch pięknych dziewcząt rzuciła tu te kwiaty jeszcze wczora — a może, któż wie? nie bez myśli.

Trzymając siwego na licach, usiadł na darniowej kanapce, schylił głowę i nie patrząc przed siebie zadumał się głęboko. — Życie dotąd tak zajęte, tak pełne, zdawało mu się nudne, czcze i bez celu.

Pierwszy raz postrzegł, że sam jeden był na świecie — pierwszy raz uczuł, że potrzebuje się do kogoś przywiązać raz; ale na wieki. I obie — jasnowłosa i czarnooka prześliznęły się przed jego oczyma, uśmiechając mu się różowemi usty. — Obie! zawsze obie?

Niewiedział i ja niewiem jak długo trwało to dumanie, gdy głos bardzo mu już znajomy, przestraszył młodego chłopca i siwosza paść się poczynającego. — Koń targnął się, szarpnął silnie, wyrwał i uciekł, Jan podniósł głowę — przed nim stały Julja i Marja. —

— A! pan nasze miejsce zajęłeś! zawołała pierwsza śmiejąc się prawie wesoło, głosem jednak, w którym przymus znać było — my pańskie. — Teraz myśmy go przestraszyły.

— Mnie, nie — odpowiedział Jan, ale siwego to prawda — poleciał jak szalony.

— Byleby mu się co nie stało!

— O! ręczę że nie — pobieży wprost do stajni. —

— A pan pójdiesz piechoto. —

— A ja — pójdę piechoto — nie ma w tem nic nadzwyczajnego — jestem myśliwy.

— Widać, że pan jak my polubiłeś to miejsce, odezwała się Julja, pomimo cichych prośb Marji, która dalszą odradzała rozmowę. —

— Dziś jestem tu zupełnie przypadkiem; koń, któremu puściłem cugle, sam mnie tu zaniósł.

— Mamy więc podziękować koniowi. —

— Nie — ale ja za mego konia powinienem przeprosić.

— Przeprosić, za co?

— Za natręctwo, za włóczęgę. —

— Któż może panu zabronić chodzić i przesiadywać gdzie zechcesz?

— O! najpierwszy pan Łada — rzekł młody człowiek, uśmiechając się.

— Jakto? pan go znasz? wielkie robiąc oczy spytała Julja.

— Ja znam wszystkich.

— Tak — a pana nikt. —

— Zdaje mi się, nawet pani podkomorzyna.

— W istocie zręcznieś się pan wymknął kozakowi, którego za nim posłano.

— Nic nadto nie mogło być łatwiejszego. Widziałem jak dawano rozkazy panu Kazimirzowi, jak p. Kazimierz oddawał je Mikicie, a juściż zwyciężyć kozaka, nie wielka sztuka.

— Dla czegoż to okrywanie się tajemnicą.

— Powtarzam pani, ja wiele na tem zyskuję. — Zagadki zajmują. —

— Ale mi się zdaje, że czasem i straszyć mogą?

— Doprawdy? mógłbyem kogo sobą przestraszyć?

— Niewiem, ale mi się zdaje, że kiedy ktoś znając tych co go otaczają, sam przydziewa na siebie maskę — jest w tem coś jakby walka nierówna. —

— Jestże walka? któżby chciał mną się tak dalece zajmować.

Julja mocno się zarumieniła; Marja zmieszala się za nią i za siebie.

— Wracajmy, rzekła po cichu.

— O! nie! nie, nie uciekajcie panie, żywo przerwał Jan, nie będę przerywał przechadzki, wiem jak nieprzyzwoicie zrobiłem, żem się tu dziś znalazł znowu — odchodzę — i pod dęby nie powrócę. —

— Chwilkę tylko jeszcze — zawołała pospiesznie Julja — nie wezmiesz mi pan za złe tego, co większa część jego rówieśników potępiłaby we mnie?

— Nierozumiem czy bym miał siłę potępić co w pani. —

— A! dziękuję za grzeczność! — Więc nie będziesz pan mi miał za złe, że naszą dziwną znajomość lepszem poznanem — przedłużyłbym chciała. —

— Pani! wezmę to tylko — za grzeczność także. —

— Lub za ciekawość tylko! dodała Julja, nieprawdaz? — ale nic więcej. —

— Cóż mi pani rozkaże?

— Będę go tylko prosić. —

— Przysięgam posłuszeństwo. —

— O! niecierpię przysięgi. —

— A więc — przyrzekam. —

— Nie lubię przyrzeczeń. —

— Cóż mam zrobić?

— Nic nie przysięgać, nic nie przyrzekać, ale być u mojej babki i dać się nam poznać.

Jan widział się w miłym, ale trudnym położeniu. O majątku jego, który wszystko ozłaca, nikt nie wiedział, ojca ledwie znano z ubóstwa, w które popadł (jak mówili sąsiedzi) przez własne głupstwo. Z rodziny jego oddawna nikt w sąsiedztwie nie miał stosunków. — Któżby go wprowadził? kto by mógł moralnie ręczyć za niego.

— Rozkaz pani nadto mi pochlebia, że bym mógł pomyśleć nawet sprzeciwić mu się. Muszę więc obszernie i zrywając maskę z siebie, wytłumaczyć się pani. Ale zawczasu boleję, bo wkrótce stracę urok tajemniczości, a przestawszy być zagadką, nie będę nawet pewnie pożądanym gościem.

Julja czekała niecierpliwie końca, nawet Marja czarne swe łzawe oczy z ciekawością wlepiła w młodzieńca, który z kolei obie dziewczęta obejmując ognistym wzrokiem, coraz smutniejszą przybierał winowajcy postawę. —

— Chciałaś pani — jestem posłuszny, mówił po przestanku. Ojciec mój, ledwie tu komu w okolicy znany, dawniej majątny obywatel, dziś ubogi kawałek pola posiadacz, mieszka na granicy Dąbrowej i dożywa pięknych, spokojnych dni starości — zowie się Darski!

— Darski! zawołała Julja — a! nazwisko mi znajome — ojca pańskiego nikt niezna, ale słyszeliśmy o nim. Widać żeś się pan nie wychował w tych stronach.

— Mało tu byłem, dla tego nietylko nikt mnie tu niezna, ale że żyję, nikt niewie prócz pocziwych dawnych naszych włościan. Dawniej młodym bardzo, służyłem wojskowo, potem podróżowałem, teraz — mieszkam daleko ztąd w Litwie i jestem tu tylko parę razy w rok, żeby starego ojca, który się do mnie przenieść niechce, zobaczyć.

Gdy wspomniał o Litwie, Marja pobladła, zmieszała się, zadrżała i zmieniła się tak strasznie, że Jan poskoczył ku niej, sądząc iż mdleje.

— To nic, to nic — cicho szepnęła — trochę mi się zakręciło w głowie.

Julja miała z sobą flakonik, którym otrzeźwił nieco nagle zmieszana i osłabła Marję.

— Teraz wiesz pani wszystko, rzekł Jan — w domu starościny nie mam z kim być, a sam niemożę. —

— Ja pana prezentować będę. —

— Prawdziwie — niewiem —; lecz jeżeli pani starościna zezwoli na to, spełnię jej rozkaz. —

— Dam panu znać do Jarowiny.

To mówiąc Julja, poczęła się oddalać, a Jan spiesznie pożegnawszy je, szybko puścił się w las, sam jeden z myślami. —

Dla czego nigdy na nas większego nie robi wrażenia widok przyrodzenia, jak gdyśmy w szczęśliwych, najszczęśliwszych początkach miłości? — Najszczęśliwszych, tak, bo choć człowiek łamie się, by posunął dalej, ileż to razy w końcu żałuje początku? — Naówczas wszystko dla niego przywdziewa suknie nowe, bo on sam obłókł się nowem uczuciem.

—
Między nim a światem jest jakaś nic zlocista, co łączy ich, czuje w uderzeniu serca wszystkie tętna całego żywota ziemi; — barwy, zapachy, blaski, szmery lasów, rzek, stworzeń, niebios, kwiatów rozumie; rzekłbyś, że zstąpił nań duch co go nauczył języka powszechnego; każdą boleścią boleje, każdą radością się wstrząsa, każdą myśl rozumie.

—
Tak gdy ranny swą krwawą odartą ze skóry bliznę odkryje, chłód, ciepło, każde drgnienie powietrza czuje nią silniej niż zahartowaną skórą. Byłażby po staremu miłość — raną tylko —? Nie! nie — miłość jest wielkim węzłem, co wszystko łączy na świecie, dotknąwszy się go, bierzemy w siebie ducha świata całego i jak płyn elektryczny, tajemnicza siła jednoczy nas z — całością. — Skoro się skupim w siebie, odetniem od ludzi, siebie czujemy, siebie pojmujemy tylko.

Miłość! wielki i święty wyraz, lecz ubogi, lecz słaby na odmalowanie tego co znaczy. Miłość to świat — miłość to Bóg — miłość to życie, to wszystko. Co jest — jest nią; a z wysoka nic nie widać prócz niej. —

Natura żywa jest miłością samą, społeczeństwo klei te uczucie, jak klei i spaja kamienie z atomów, chmury z niewidocznych wyziewów.

Wszystko co święte, co dobre, co prawdziwe, co piękne, jest miłością. A dwojga kochanków namiętne uczucie to tylko odłamek, to tylko gałązka ogromnego drzewa, pod którego cieniem drzemią światy, i słońca, i gwiazdy, i błękitny eteru. —

Jedna miłość jest złą, jest fałszem, jest śmiercią moralną — miłość samego siebie. Wszystko co złego ma świat, co nazywa się złem, z samolubstwa pochodzi. Ono rozłącza, rozbija, morzy, unicestwia. — Przez nie giną społeczeństwa i gasną światy w niebiosach. Niech chwilę ziemia zatrzyma się w miłośnym biegu koło słońca, — umarła — niech chwilę człowiek zawrze się sam w sobie — a nie żyje. Bo życie jest miłością.

A miłość jest ofiarą —; lecz ofiarą rokoszną, dobrowolną — poświęceniem bez wejrzenia po za siebie. —

I niema miłości bez ofiary. —

Wszystkie miłości nią żyją. —

Wejrzyjcie na niebiosa — co tam światów wiecznie krążących około ogniska, które mu swój byt poświęciły; wejrzyjcie na społeczeństwa — jeżeli na nich zgasł duch ofiary, duch miłości, — ruiną są, popiołem, rumowiskiem. —

Tak myślał idąc Jan, i rozogniony własnym dumaniem, stanął już szarym wieczorem u krzyża, naprzeciw domku ojcowskiego.

Pod krzyżem modlił się starzec siedząc, z wypogodzonym obliczem chrześciana. —

— Co ci się stało Janie, rzekł gładząc wąsa — siwy powrócił bez ciebie. Wiedziałem że cię z siodła wysadzić nie mógł, boćby to już do licha wstyd było; musiałeś zsiąść i nieuważnie go puścić.

— Coś nakształt tego, odpowiedział całując rękę starca. —

— I zyskałeś, że ci śliczną kulbakę podruzgotał bestja w kawałki, musiał się gdzieś tarzać. — Dobrze że się nie okaleczył, alem go sam opatrzył, nic mu się nie stało. Ale gdzieżeś był?

Jan, który tajemnic mieć niechciał, opowiedział staremuto swoje pierwsze, drugie i trzecie na balu i dzisiejsze czwarte spotkanie z Julją i Marją, nie tając wcale, że jedna z nich mocno go zajęła.

Darski potrząsał głową i brwi zachmurzył. —

— To coś szparko mości panie — rzekł wysłuchawszy, a w dodatku i na nic ci się nie zdało. Boż to pany, a my wcale nie — oni dumni jakby ich rodziła Batorówna, z tego nic być nie może, tylko się daremnie zakrwawisz w sercu. Ot lepiejbyś sobie ubogą jaką znalazł szlachcianeczkę, a piękną, a skromną; a pocziwą, a pracowitą; pobłogosławiłbym ci z duszy.

— Przecież jeżeli im o to chodzić może, jestem szlachcic. —

— Tak, bo spodziewam się, że i w duszy szlachectwo nosisz jak wszyscy Darscy, bez czego kiep szlachcic — przerwał stary.

— A do tego jestem ci bogaty — dodał Jan.

— Bogactwo, dziecko moje, rzekł ojciec, dziś jest jutro go niema. Z niem jak z smaczną potrawą obchodzić się potrzeba; lepiej jej nie kosztować, żeby sobie nałogu nie zrobić; a mając nawet bogactwo, niech ci serce do niego nie przylega.

Patrz jak dziś mnie mało kosztuje, żem zubożał! Żal mi moich pocziwych ludzi, nic więcej i też samę kaszę i krupnik jak dawniej zajadam, bom się do pulpetów nie nazwyczał, żeby po nich stękać.

— Ani ja mój ojciec — wiesz jak mi mało potrzeba. —

— I dla tego ci właśnie ani bogatej, ani wysoko-urodzonej żonki nie życzę. — Wiesz co to u nas dobre wychowanie, toć to tylko wypieszczenie i popsucie. Przy takiej żonie i ty się popsujesz, zmiękniesz, zbabiejesz. A mężczyźnie zbabieć to już ostatnia rzecz. Koło tej lalki będziesz musiał skakać, dmuchać, chuchać, na paluszkach chodzić i może w ostatku zostać zasłonką od gacha —

— Nie, nie — moje dziecko nie tego nam potrzeba dla nas obu. — Wolałbym z lichem prostą pocziwą dziewczę. Przy tej byś przynajmniej nie zrobił się piecuchem.

— Ale mój drogi ojciec — czyż już wszystko złe w tem wychowaniu, w tym świecie, którego ty nie lubisz?

— Nigdzie niema ludzi, coby całkowicie źli byli, moje dziecko, jest i tam zapewne wiele dobrego, ale więcej zła. —

Zobaczycie jeśli dożyjecie! świat musi się odmienić. To co dziś u was cywilizacją i dobrą edukacją i wybornem towarzystwem się nazywa, całkiem inne będzie. Wasze pierzyny, wasze cacki drogie, co wam po trochu serce kradną, wasze nałogi, które i czas biorą i niewolnikami czynią, wasza miękkość pieszczona, czułość w fraszkach, a obojętność w rzeczach prawdziwie wielkich — wszystko to zmienić się musi. Świat idzie ku lepszemu — wierzę w to jak w ukrzyżowanego Chrystusa. Jego nauka nietylko do niebios po śmierci, ale do szczęścia, o ile ono może być naszym udziałem — prowadzi i doprowadzi.

Stary umilkł poglądając na dalekie lasy, za którymi jeszcze się prześwieciła czerwona luna zachodu.

— Słuchałem cię ze czcią i rozrzewnieniem, mój ojcze, odpowiedział Jan powolnie. Wszystko co mówisz jest prawdą — lecz więcej zgadujesz niżeli znasz świat terazniejszy, nigdy niechciałeś nań wyjrzeć.

— Tak! to prawda, ale w mojej ciszy i samotni, ty wiesz że niepróżnuję, że mi oczy służą, a książka żadna nie nudzi. Wasze xięgi malują świat najlepiej, nie wówczas gdy myślą, że to czynią, lecz najczęściej gdy o tem wcale nie wiedzą. — Lubię ja konia, psa, powietrze i życie czynne — ale trzeba i myśl podsycać, bo inaczej bylibyśmy zwierzęty. — Znam wasz świat i dla tego go nie ciekawy.

Nasz staropolski, choć go tam teraz obrzydają jak mogą i piękrzą nie do rzeczy, daleko był wart więcej, bo w nim był duch Chrystusa Pana. Występki były jak zawsze i wszędzie, lecz ogół i co rządziło ogółem, ten duch wieku jak wy zowiecie, miał jeszcze wiarą, braterstwem, nadzieją... Dziś wiele słów, a szczerości mało — każdy gada, nikt nie robi.... Boję się o was — nim przyjdzie dobre, wiele złego przecierpieć jeszcze musicie.

— Znów umilkł starzec, a po chwili —

— No, powiedzże mi co więcej o tej pięknej dziewczynie, która na twoją biedę tak cię zajęła. —

— Cóż chcesz ojcze mój, żebym ci powiedział, wylałem ci z serca co w niem miałem — wszystko — piękna — obie są piękne — poprawił się — dowcipna i mowna.

— O, to nic potem, rzekł stary.

— Żebyś wiedział ojcze, jak z tem jest czarująca!

— Powiedziałbym ci coś, ale się nasrożysz.

— Z tobą ojcze!

— No! no! daruj staremu — Dwa bo są kobiet rodzaje, i ci starzy poganie, u których wiele było sensu, choć też dużo fałszu, najzręczniejsze je podzielili. — Rzymianin szukał matrony, coby domowego strzegła ogniska; skromnej, pracowitej domatorki, którejby mógł napisać na grobowcu — Ognia strzegła, wełnę przędła. — Lecz gdy chodziło o rozkosz bydłą, przyprowadziła solą attycką, dowcipkiem, czarującą gracją; — o! naówczas mosanie szli do dworek, do swoich Laisów i Aspazij. Ale żaden się z nich z Aspazją, Frynę i Safo nie żenił. —

Otoż tak mosanie, te najdowcipniejsze kobiety, do których serce Ignie okrutnie, to najniebezpieczniejsze stworzenia na świecie. Im nieustannie potrzeba blasku, wrzasku, oklasku, nowych ludzi i nowych uczuć — mospanie.

— Powiedzże mi chłopcze, jak tu się z taką ożenić kobietą?

Jan milczał.

— Nie jeden, gawędził dalej stary, nie spojrz na cichą, na skromną, na kryjącą się od oczów, od spojrzeń, od ludzi niewiastrę, ale to są skarby mospanie, dyamenty, na których się nie znają. Waćpan słyszałeś pewnie, że dyament co go to kędyś tam wymywają z piasków i błota, wcale nie ma pozoru błyskotliwego, a przecie to koron królewskich ozdoba, gdy tym czasem lada kiepski kamuszek czasem świeci się jak co dobrego. Tak to i z kobietami.

— Czyż zawsze mój ojcze?

— Juściż nie zawsze, ale trafić na wyjątek trudno i rachować na takie szczęście, to Pana Boga kusić. — Ale już bo czas do domu, rzekł staruszek podnosząc się z kamienia na którym siedział. Widzę ztąd starą Dorotę i Kaspra, że miskę krupniku mają ponieśli — przez sieni — boć nie na co świecili luczywem do pierwszej izby.

To mówiąc wyprostował się Darski, otrzepał kapotę i z milczącym Janem spuścił się w głąb jaru. Chciał mu podać rękę syn, ale stary się ofuknął.

— Patrzajcie, masz mnie już za kalekę czy co?

— Ale po nocy!

— O! o! albo to ja tu każdej bryłki ziemi nieznam, prędzej się ty potkniesz jak ja i nogi chwalić Boga, służą jeszcze.

Tak mówiąc zeszedli w głąb i po ścieżce z poręczem wdrapali się na górę. Stary przywykł ani się nawet zasapał, mimo że wnijsie dość było przykre. W dziedzińcu zastali Kaspra, który szedł właśnie prosić na wieczerzę.

Mały, krępy, niskiego czoła, szerokich plecu, rozczochranej czupryny, długich rąk i zawieszistych warg pan Kasper wcale niepozorną miał minę. Ale nie było sługi nad niego! Pierwszym i największym przymiotem jego było to, że nigdy nic niechciał, tylko to co pan. — Wcielał się w jego myśli, żądania, gusta i niedość że słuchał, ale rozkazów nie potrzebował. Nigdy Darski nic mu o użyciu dnia, o robocie nie potrzebował dyktować, Kasper magnetycznie jakoś wiedział, co trzeba było robić. To wyrzeczenie się siebie nie wiele go kosztowało — był najszczęśliwszy, zawsze wesół, rad wszystkim, pierwszy do wyperswadowania, jeśli się co złego stało. — Ożywiał sobą cały nie wielki dwór Darskiego i był jego głowa i duszą. Pod przewodnictwem tego znakomitego człowieka, którego ręce w tył założony szedł powoli obok pana i panicza, doszli do dworku. — Tu z wielkim podziwieniem zastali obcego człowieka, właśnie w tej chwili podchodzącego ku drzwiom z białą kartką w ręku.

— A z kąd to moje serce? spytał razem prawie p. Darski i Kasper.

— Z Dąbrowej, panie, z kartą. —

— Idźże Kasprze, przyjm gościa w czeladnej, a ja pismo odczytam.

Stary zawsze tak obcych przyjmował, że ich musiał bodajby na chwilę tylko przybyłych ugościć, nakarmić, napoić i uczcić, jak można. Kasper wiedzący obyczaje, zaraz porwał posłańca i już się wesoło do niego uśmiechając, w najserdeczniejszej gawędzie, wprowadził na przeciwek.

Z ciekawością ojciec i syn zbliżyli się do świecy i stary oddał Janowi list, będąc już pewien, że do niego być musi, ale oddał z westchnieniem. Sam usiadł w krześle swoim i zadumany nalewał sobie krupnik w prostą glinianą misę, która przed nim stała.

Jan czerwieniał się po uszy czytając.

— No cóż ci tam piszą? spytał ojciec. —

— Starościna —

— Jakto? sama starościna. —

— Tak, ona podpisana. —

— Cóż tedy?

— Ośmiela mnie i zaprasza do swego domu.

— Tam do kata! honor wielki! odparł Darski poczynając spokojnie jeść krupnik. Teraz chłopcze zginąłeś. —

Jan znów w rękę pocałował i jakby go przeproszał — rzekł cicho —

— Pozwolisz ojczy? —

— Co ja ci mam pozwalać lub bronić; nie jesteś młokos, masz lub powinieneś mieć rozum. I zabronienie na nicby się tu nie przydało — jeśli ci to już smakuje, nie tu to gdzieindziej znalazłbyś co lubisz. Niech się dzieje wola Boża! — Jako ojciec, radzić będę — gderać mogę, płakać nawet — ale bronić nie myślę. Daj tylko Boże, żebyś w istocie trafił do tego szczęścia, które tam widzisz i nie zaszedł gdzie nie myślisz.

I gdy Jan pospiesznie odpisywał na list, bo wszystko w nim wrzało, Darski tym czasem krupnik swój zjadając, gawędał.

— Nieznałeś świętej, pocziwej a tak wcześniej zgasłej matki swojej. Daj ci Boże w życiu za towarzyszkę taką jak ona była. Aleciem jej nie szukał wysoko. Była córką ubogich, pracowitych ludzi. — Łzy mi płyną gdy ją wspomnę, choć dwadzieścia kilka lat jakeśmy się rozstali.

Tu starzec rzucił łyżkę i spuścił zasmucone poważne oblicze —

— Rozstali się na chwilę, ale połączym nazawsze. — Gdybym mógł skutecznie się modlić, o nic bym nie prosił Boga, tylko o taką żonę dla mojego Jasia. —

— Mój ojczel! — z zapalem podchwycił Jan, wierz mi, ja cię tak szanuję, tak kocham, że gdybym widział najwyższe szczęście w kobiecie, a tyś mi porzucić rozkazał — porzuciłbym.

— O! o! to za wiele — tak się waści zdaje — ale to znowu w twoim wieku za nadto wielka ofiara. — Cóż tam odpisał Jasiu?

— Że jutro będę się stawił. Poszlę dziś po mój powóz i konie i —

— I głupstwo zrobisz! wiesz co — tu nikt ani wie żeś bogaty, nie wydawaj się z tem póki cię nie spytają — kłamać, niech Bóg broni! ale ręczę, że się tego nie domyślają, a chwalić się nic do rzeczy. Na co ci powóz i konie — weźmiesz siwego, dam ci nowa kulbakę —

— Ale jakże? ubrany —?

— A czy to daleko?

— Przeciwno zwyczajowi?

— Żartuj sobie z tego, śmieszności w tem nie będzie, a niezwykajna rzecz, byle nieśmieszna w kobiecych oczach, wcale ci nie zaszkodzi.

— Jak każesz ojczel. —

— Radzę i dobrze ci radzę. I nie wrywaj się ze swemi dobrami w Litwie, owszem milcz. — Już jeśli do kaduka masz szukać żony wysoko, niechże będzie pewność, że cię szczerze kocha. Jeśli cię przyjmie, sądząc żeś ubogi — no, toż to coś znaczyć może. —

Odesłano list i Jan zamyślony, ale weselszy siadł do wieczerzy, do której i Kasper się przystawił posługiwać. —

— A gość? spytał stary. —

— O! już poszedł jak mu tylko list oddano, mówił że mu kazali zaraz powracać.

— Aleś go uczęstował.

— A jakże! a jakże! toć wiemy zwyczaj i prawa, *jak ten powiada* (to było Kaspra przysłowie).

— Nie wypytywał posłaniec.

— A jakże, a jakże — ale mnie muchy z nosa nie łatwo wyciągnąć — pytał się o panicza czy daleko mieszka — a ja mówię o! daleko. — Cóż to przesiada na dziedzictwie? — podobno — odpowiedziałem. I musi być bogaty? pyta znów — a ja mu kto to tam wie, jak ten powiada — to tak daleko. —

— Rozumnieś odpowiedział Kasprze — rzekł stary.

— A już to ja — głupstwa nie zmaluję, przechylając się na jednej nodze z niejaką dumą odparł sługus.

— A potem. —

— A potem już jakby mu gębę zamałował, jak ten powiada, — tylko dwa kieliszki wódki wypił.

— I zakąsił.

— Kielbasą! a jakże! kielbasą!

— No! kiedy on zakąsił, dawajże i nam czem po krupniku zakąsić, odezwał się stary. A Kasper na jednej nodze poleciał po drugą potrawę, którą były świeże kartofle.

Niepotrzebujemy dodawać, że Jan niejadł, w jego położeniu nic się nie jada, chyba przez roztargnienie.

Są chwile w życiu człowieka przestraszające go, choć bojaźni, której doznaje patrząc na nie gdy się zbliżają, nic wytłumaczyć nie potrafi. Nie zawsze przecucie wieszczce wstrząsa sercem i cofać się doradza — czasem wielkość nadziei rodzi obawy, by ich mgnienie oka nie zniszczyło. Głowa się zawraca, usta bledną, oko patrzy i nie widzi, myśl nawet jak ptasze, nad którym krąży jastrząb niewidomy, osłabłemi skrzydły płące się w powietrzu i opada.

Najodważniejszy, najprzytomniejszy w tych krytycznych życia perjudach niepoznaje sam siebie, a gdy później chłodniejszym okiem spojrzy na bojaźń doznaną, śmieje się z niej jak z dzieciństwa.

Jan dojeżdżał do Dąbrowej z takim właśnie niepojętym przestachem, jakimś tu opisali. Czego się lękał? niewiedział; tłumaczył sam sobie, iż bojaźń była nierozumnym uczuciem, chorobą jakąś, dzieciństwem, a obawiał się przecie.

My wnijdźmy przed Janem do pokoju starościnej i zajrzyjmy do niego w chwili, gdy Julja wracająca z przechadzki, zmęczona, poruszona przysiadła na stołeczku u nóg babki.

— Widzisz dziecko moje, rzekła do niej staruszka przykładając rękę do jej skroni — jak ci krew bije do głowy, cała jesteś czerwona, a takeś się zmęczyła. Tyle razy cię proszę, żebyś nie biegała. — I Marja pozwala na to.

— Mówiłam Julji — prosiłam. —

— Ale babciu, kiedy mi to nie szkodzi!

— Tak, nie szkodzi! chwała Bogu, ale może ci zaszkodzić. Ruch mierny służy zdrowiu, ale taka gwałtowna agitacja.

— Moja babciu, a kiedyż biegać jeżeli nie w moim wieku?

— Z umiarkowaniem.

— Tego ja nierozumiem — to niewola!

— Całe życie niewola, dziecię moje.

— A niech Bóg broni!

— Cóż ty na to poradzisz?

— Co? niepoddam się — zawołała Julja tupając nóżką — umrę a niepoddam się. —

— Dziecko! dziecko!

— A! a! wielka nowina babciu! z nią to tak do ciebie leciałam — Tajemnica odkryta.

— Jaka tajemnica?

— A! mój nieznajomy.

— Twój?

— To jest nasz, mój i Marji.

— O! ja się do niego nieprzyznaję — przerwała Marja cała w płomieniach.

— Kiedy mi nie wolno powiedzieć *mój*, muszę mówić *nasz*.

— I cóż ten twój nieznajomy.

— Wiem kto jest.

— Pewnie coś nie ciekawego.

— Wszakto babciu droga, syn tego starego Darskiego z Jarowiny, o którym tyś mi sama rozpowiadała.

— Syn Darskiego? niewiedziałam, że miał syna.

— Nie mieszkał tutaj, siedzi gdzieś w Litwie, przyjechał tylko do ojca, — Otóż kochana babciu, (szturmem dobywając twierdzy dodała Julja) dał mi słowo, że u nas będzie. Chodzi tylko o to, kto go wprowadzi, bo nikogo znajomego niema.

Staruszka zamyśliła się i widać było, że niecałkiem była rada zaprosinom wnuczki.

— Jakto? spytała po chwili — sam się zapraszał być u nas?

— A! chowaj Boże! ja go zaprosiłam.

— Ty! ty moje dziecko.

— A cóż to złego babuniu; młody, dobrze wychowany i bardzo miły człowiek, nasza okolica tak pusta, łapię jak mogę.

Babka pogroziła na nosie wnuczce. — Patrzaj, rzekła, co o tobie pomyśli?

— A cóż pomyśleć może; żem grzeczna —

— A jeżeli to jaki bałamut, któremu się ubzdrzy —

— Ale nic mu się ubzdrzeć nie może, ręczę. — Oho! nie takem go zapraszała. — Zresztą babunia moje zaproszenie naprawi i napisze do niego od siebie.

— Ja! moje serce.

— Tak! babcia kochana, i to dziś jeszcze.

— Ale ja tego nie zrobię.

— Czemu?

— Bo mi nie wypada.

— Owszem babuniu. — Darscy ubodzy, ubogiemu oszczędzić pierwszego kroku ciężkiego dla jego miłości własnej, godzi się i potrzeba. Gdyby był bogaty, nie mówię.

— Ale na cóż on nam, proszę ciebie —

— Na co ludzie ludziom? Wszakże potrzebujemy towarzystwa.

— Młody człowiek, gadać będą —

— O! niech sobie gadają, o to najmniejsza.

— Dla kobiety wcale nie.

— Tem się gubią kobiety, że na paplania uważają, wieleż głupstw się robi dla ludzkiego języka.

— Niewiesz sama co mówisz.

— A więc babunia pisze?

— Nie, dziecko moje, byłoby to coś — niewiem — zdaje mi się, nieprzyzwoitego; byłoby to jakbyśmy go łapać chcieli.

— Łapać! czyż kto nas o to posądzi! czy tego potrzebujemy.

— A wręście dziecko moje, jest jeszcze jedna ważna przyczyna, dla której wprowadzać młodego Darskiego do mego domu waham się.

— Jakaż być może?

— Powiem ci ją moje dziecko, nie jest to tajemnicą żadną. Darscy byli zawsze bardzo uczciwymi ludźmi, ale przez dziwactwo swoje stracili wziętość w sąsiedztwie, i odłączyli się zupełnie od towarzystwa. Bogaci będąc wzgardzili nami, zubożawszy ani się chcieli przez dumę schylić do ludzi. Jeden raz tylko stał się stary Darski z jednym bliskim krewnym naszym, i spotkanie ich pozostawiło po sobie pamięć i nienawiść niezmazaną.

— Z kimże to babuniu?

— Właśnie z opiekunem twoim, z prezesem.

— Jakiż prezes —

— Prezes i Darski zeszli się w domu ubogiego człowieka, o którego córkę obadwa się starali. Prezes naówczas nie był jeszcze tak bogaty jak dzisiaj, a był młody i szalenie zakochany. — Darski śmiał mu satnąć na drodze i ożenił się z tą, którą on za swoją już uważał.

— A! cha! cha! prezes zakochany tego sobie wyobrazić nieumiem.

— Prezes tak dalece był przywiązany do tej panny, że wcale się potem nie ożenił, i na całe życie została mu w sercu nienawiść przeciw Darskim. Ludzie nawet mówili, że się przyczynił wielce do zrujnowania ich majątku, i gdyby nie prześladował starego, ten mógłby być wyjść z interesów.

— O tem nigdy nie słyszałam.

— Widzisz więc, że bez wiedzy i przeciw woli prezesa zapraszać w dom młodego Darskiego, jest to przygasły zaledwie ogień rozdmuchiwać. — I tak — Bóg widzi — nie mogę się nie skarżyć na opiekuna twego; cóż to będzie, gdy mu damy słuszną przyczynę niechęci.

— A cóż ma być babuniu, prezes będzie mruczał według zwyczaju, zagryzał usta, złościł się, a my zrobim swoje.

— I zrobione opłacim nie jedną przykrością. —

— Babcia się wszystkiego boi. —

— Bom stara, moje dziecko, i przeszłam wiele.

— Ale dla tego napiszemy do Darskiego?

— Jakaż ty uparta!

— Jak koziołek? nieprawdaż? — Ja piszę, babcia podpisuje — posyłamy i rzecz skończona.

I Julja tak potrafiła przynaglić staruszkę, że nim się ściemniło, wysłano list do Jarowiny.

Nazajutrz przybywał Jan po południu, w chwili właśnie, gdy babunia usnęła była po swoim postnym obiedzie, a dwie panienki w saloniku siedząc, półgłosem czytały. Tentent konia wstrząsł Julję. Marja pobladła tylko i spuściła głowę na krosienka.

— To on! szepnęła Julja, i w tej chwili Jan blebszy także niż za zwyczaj, odemknął drzwi salonu.

— Cicho! na palcach! zamiast przywitania szepnęła Julja — Babcia spi — siadaj pan. I wskazała mu krzesło obok siebie.

— Konno pan przyjechałeś?

— Jak zawsze. —

— W takie gorąco?

— To mi nic nie szkodzi, przywykłem do wszystkiego.

— Prawdziwie, takby wszyscy powinni jeździć mężczyźni. — W miękkim — koczu wcale im nie do twarzy. —

Dziękuję panu wcześniej w imieniu babki, nim ona sama to uczyni, żeś nas tak prędko odwiedził. My tu żyjemy tak samotnie, okolica tak pusta.

— Mnie się przeciwnie zdawało, że sąsiedztwo bardzo liczne.

— O bardzo liczne, ale pan wie co to jest na wsi sąsiedztwo. — Jedni nas nie chcą, drugich my nie życzymy, trzeci czasu nie mają, innych chcielibyśmy a boim się. —

— Do którejże z tych kategorii zaliczysz mnie pani?

— Do żadnej, pan nie jesteś naszym sąsiadem.

— I bardzo żałuję, że nim nie jestem.

— Czczą grzeczność, za którą dziękuję — nie lubię grzeczności. — Ludzie się niemi częstują, jak dzieci cukierkami, ale to nie karmi. Ale otóż słyszę że się babunia budzi, pobiegnę do niej, uprzedzę o gościu, pójdziemy do niej. Ty Marjo baw pana Darskiego.

Marja błada podniosła głowę od krosien.

Julji już nie było — Jan niewiedział jak począć rozmowę z milczącą, smutną, siedzącą naprzeciw niego dziewczycą, drżącą jak listek. Szczęściem tyle było wszędzie kwiatów, że rozmowa najnaturalniej począć się od nich mogła.

— Dąbrowa, to prawdziwy kosz kwiatów, rzekł, cóż to za mnóstwo ich, i jak cudne!

— Julja i babka lubią obie kwiaty namiętne, odpowiedziała Marja po cichu.

— A pani?

— O! i ja je lubię — ale Julja do szału, do pasji swoje wychowanki kocha. — Dla niej kwiatek jest czemś więcej jak dla nas wszystkich.

— Ja najlepiej lubię nasze, własnej ziemi kwiaty.

— O! i ona je wykopuje, przesadza, pielęgnuje i przenosi nad zagraniczne, nad któremi czuć trzeba, żeby ich wietrzyk, żeby ich chłodek, skwar, lub najmniejsza zmiana powietrza nie umorzyła.

— Znać w Dąbrowie bardzo to zamilowanie — cała w kwiatach jak w wianku. —

Kończył tę nic nieznaczącą rozmowę, której daleko więcej znaczące towarzyszyły wejścia, gdy Julka wprowadziła opierając się na niej starościny, z uśmiechem dobroci wchodzącą do salonu.

— Pan Darski! zawołała. —

— Bardzom szczęśliwy, że mi wolno podziękować pani osobiście za jej łaskę dla nieznanego. — Obcy w tej stronie teraz, wywożę z tąd wspomnienie najmilsze przyjęcia, na które nie zasłużyłem, którego spodziewać się nie miałem prawa.

— Siadajże pan dobrodziej — a dawno w tych stronach?

— Od kilku tygodni, i teraz jestem na wyjeździe.

— Jakto? porzucisz pan starego ojca?

— Wrócę wkrótce do niego, teraz mam obowiązki powołujące mnie do Litwy.

— Wielka szkoda, moje panny rachowały już na pana, jako na tancerza, na jesień i zimę.

— Któż wie, może nie zmylą rachuby i powrócę.

— Powracaj pan, u nas się bardzo dobrze bawią. —

Zaturkotało.

— Któs przyjechał? spytała staruszka. Julja wyjrzała oknem.

— Pani podkomorzyna. — A! to wybornie, jeszcze niewie kto pan jesteś — cicho! cicho! I pobiegła ku drzwiom, któremi już wtaczała się dostojna kuzynka z panną Matyldą, trzymającą lornetkę w ręku, flakonik w drugim. Trzeba wiedzieć, że Tysia miała słabe oczy, słabe nerwy, słabe piersi, i chorowała na rodzaj melancholji, który cierpią wszystkie panny niemogące pójść za mąż. — Od roku pokaszliwała, przezuwając suchoty, ale wyglądała dość dobrze i nadto nawet, pomimo octu, o którego ją matka strofowała.

Podkomorzyna rzuciła okiem po salonie, zobaczyła Jana i ledwie przywitawszy się ze starościny, zwróciła ku niemu —

— Widzę pana tutaj! a więc tajemnica rozjaśniona. —

Julka niedozwoliła babce zaprezentować gościa. —

— Przecież trwa wyzwanie?

— Uznają się zwyciężoną.

— Pan Darski — wskazując ręką, przemówiła staruszka.

Podkomorzyna, która się wcale nazwiska tego spodziewać nie mogła, skłoniła się dosyć oziębło sznurując usta, i dodała: — Powinam się była domyśleć. —

Nastąpiły oklepane pytania — Gdzie pan mieszka? i tym podobnie. Potem Matylda zwróciła się udając niezmiernie lekką i powietrzną istotę ku Marji, którą z zapalem

nerwowym ścisnąć i całować zaczęła szepcząc jej coś na ucho. Podkomorzyna siadła przy staroście, a Julja zaczęła rozmowę z Janem.

Zabójcza to była rozmowa —!

Wzrok Julji, któremu nic oprzeć się nie mogło, jej wejrzenie przeszywało na wskrós Jana, którego cierpiał rozkosznie, czując się tak już okutym, tak oczarowanym, tak podbitym, że o świecie całym zapomniał.

Jakieś nieznanne światy, niepojęte szczęścia, niezbadane głębie rokoszy nadziemskiej widział w tych niebieskich zrenicach, które mu mówiły więcej daleko, inaczej daleko niż usta; obiecywały mu raj. —

Usta Julji szydersko uśmiechające się, z których słówka śmiało, dowcipnie, lekko wylatywały jak ptaszki, uderzały go sprzecznością wyrazu z cudnymi jej oczyma. — Patrzył i szalał. —

Rozmowa jak ogień wejrzeniami podsycany, zapalała się, płomieniła, obejmowała coraz szersze kręgi, świeciła coraz jaśniejszą luną, ulatywała w powietrze, nietykała już ziemi. Julja także zapomniała, że na nią patrzyły babka, podkomorzyna, Matylda — Matylda, która przy słabych nerwach miała mocną ochotę do plotek. —

Musiano wręście odwołać nieuważne dziecko; ale po czasie. — Julja mówiła sobie w duszy — będę go kochała!

A gdy kobieta sama sobie powie — kochać go będę! — już kocha.

Jeśli obiecuje ludziom temi samymi słowy — naówczas kochać nie będzie!

Jan zapomniał łzawego spojrzenia czarnych oczów Marji, powiedział sobie w duszy — będę cierpiał, wszystko zniosę, ona być musi moją — ona mi jest przeznaczoną.

Julja biegła jeszcze z narzuconymi jej kluczykami, które przeklinała, gdy turkot potwórny dał się słyszeć i w tejże prawie chwili, otworzyły się drzwi salonu.

Wszedł mężczyzna stary, kulawy trochę, na lasce się opierający, wychudły, zgarbiony, ubogo a raczej brudno i sknersko ubrany. Twarz jego zastraszała wyrazem niczym nie pokrytej nienawiści, gniewu i wszystkich płynących z nich uczuć.

Żółty, zmarszczony, z ogromnymi oczyma czarnymi błyszczącymi ogniem dzikim, z usty, które po wypadłych zębach jeszcze dziwniejszy wyraz dumy i wzgardy przybrały, z wielkimi białymi uszami, łysą na wpół głową, której czaszka guzowata i nieforemna najeżoną resztą włosów pozostałych opasana była — podszedł ten osobliwszy gość śmiało i srogo oglądając się do koła, aż ku staroście. Pocałował ją w rękę od niechcenia, uśmiechnął się niby Julji, kiwnął głową reszcie, zmierzył z podziwieniem Jana i padł na krzesło, tyłem się ku niemu zwracając.

— Kaducznie trząska droga odemnie do starościej! zawołał — trąc ręką po czole.

Wszyscy milczeli zmrózeni przybyciem prezesa — był to opiekun Julji. Najmniej jednak wrażenia na niej uczynił, płacąc za niegrzeczność jego, poszła do Jana sama, śmiało, i zaprosiła go w ganek, gdzie Marja i Matylda także wyjść miały do przygotowującej się herbaty.

— Kto to jest? spytał Jan cicho.

— Mój opiekun — prezes — odpowiedziała Julja.

— Prezes! zawołał Jan — Prezes!

Twarz mu się zmieniła. Julja postrzegła to. — Opiekun pani? —

— Tak, kuzynek i opiekun.

Zaledwie wyszli w ganek, gdy palcem wskazując młodego człowieka prezesa, spytał starościej — a toż kto?

— Pan Jan Darski — nieśmiało i prawie drżąc odpowiedziała staruszka.

— Darski! podchwycił opiekun porywając się z krzeselka — syn — syn —

Oczy mu się zaiskrzyły, zapłomieniły, ściała usta, drżał — syn tego —

— Syn znajomego prezesowi. —

— Tak! znajomego — wroga! — Cóż on tu robi?

— Julja go poznała na — balu — mówiła starościna i zaprosiliśmy go — to jest ja go zaprosiłam.

— Po co? z uśmiechem rzekł prezes — po co? po co?

— Pozwolisz prezesie, że mogę przyjmować kogo zechcę — urażona odparła staruszka.

— Zapewne! zapewne! zobaczymy! Darski! mruczał niewyraźnie stukając kijem i wstrząsając się cały mówił prezes:

Zobaczmy! Pan Darski — hołota! moje wrogi. —

Zachmurzyło mu się czoło, zżółkł w chwili bardziej jeszcze i mnąc czapkę na kolanach leżącą, powtarzając niewyraźnie wykrzykniki jakies, siedział z oczyma wlepionemi w ganek. — Zaprosili — ale ja go wyproszę. —

Tego niedosłyszała starościna, bo rozpoczęła mówić z podkomorzyną. — Po chwili prezes jakby mu myśl jakaś dzika przyszła, porwał się z krzesła gwałtownie i zapomniawszy podpierać się laską, założywszy w tył ręce, poszedł w ganek. Przekulał dwa czy trzy razy wzdłuż balkonu zawsze z oczyma wlepionemi w Jana, którego pożerać się zdawał, nareszcie zastanowił się na przeciw niego, milcząc szydersko i zjadliwie popatrzał mu w oczy, a widząc że się Jan nie mięsza, odszedł. —

— Temu panu, rzekł Jan do Julji — widocznie nie przypadłem do smaku.

Prezes posłyszał dość głośno wymówione wyrazy.

— Zgadłeś pan, rzekł grubijańsko.

Jan się uklonił tylko. — Niechże mnie pani zaprezentuje.

— Pan Jan Darski! śmiało przemówiła Julja.

— Wiem o tem! I z gniewem się odwrócił.

Widocznie chciał upokorzyć, chciał wypędzić przybysza, a wahał się i nieśmiały jeszcze.

— Nie przeszlibyśmy się po ogrodzie? rzekł znowu wrząc cały.

— Bardzo chętnie — odpowiedział Jan. — Julja błagająco spojrzała na niego; młody człowiek jednym wejrzeniem uspokoił ją. — Miał on już tę wyższość nad prezesem, że był zimny i panem siebie, gdy tamten, wspomnieniem przeszłości rozjątrzony, buchał nienawiścią i gniewem.

Powoli zeszedli ze wschodków.

— Co pan tu robisz? rzekł prezes dumnie. —

— A pan? spytał grzecznie Jan.

— Jakto? jakto! ja — krewny — opiekun — pan śmiesz —

— Ja jestem sąsiadem i gościem, niesądzę, żeby do obowiązków opiekuna liczyła się niegrzeczność dla gości.

— Pan wiesz kto ja jestem?

— Dowiaduję się co chwila lepiej o tem.

— I wiesz przeszłość?

— Zapewne urazę jaką pan masz do mojego ojca?

— Uraze! uraze! nie — nienawiść — chęć zemsty — ohydę — wstręt.

— Mógłżebyem co na to poradzić? nie wiem, to pewna, że ojciec mój nadto jest dobrym chrześcijaninem, żeby nienawiść chował w sercu i zemsty pożądał.

— Ja go zgubiłem!

— Mój ojciec nie zginął.

— Jam go zubożył.

— Mój ojciec ma dosyć dla siebie i dla mnie — niechcemy więcej. — Co się tyczy pańskiego udziału w ubóstwie mojego ojca, przesadasz pan sobie to czem się chlubić niegodzi. Ojca mego zubożyły ofiary, któremi poszczycić się może, nie pan.

— Wy mnie, ja was nienawidzę — to dom moich krewnych, mojej pupilli — chcę żeby tu noga twoja nie postąpiła. — To mówiąc stuknął laską i myśląc że zastraszy Jana, zbliżył się ku niemu o pół kroku.

— Proszony, przybyłem i zdaje mi się, że nikt prócz starościnej niema prawa powiedzieć tutaj żebym wyszedł. Zostaję więc.

— Zostajesz?

— Tak jest.

Prezes bladł, strzelał oczyma, stuknął laską i wił się z gniewu, który nim miotał.

— Ja niemam prawa ztąd cię wyrzucić?

— Zdaje mi się że nie.

— Jeden z nas przecie ustąpić z tąd musi. —

— Na to pozwalam, ale nie ja. — Prędej nie odjadę, aż zechcę.

— Mości panie, pan nadużywasz mojej cierpliwości.

— Panie prezesie, zapominasz pan, co winienes temu domowi, co winienes sam sobie.

— Waćpan mi dajesz nauki? —

— Nie — ostrzegam go.

— Mówię raz jeszcze, niechcę żebyś pan tu bywał.

Jeśli pani starościna mi to powtórzy —

Prezes wściekł się zupełnie i kulejąc poszedł szybko w ogród. Jan nie bez śladów wzruszenia na twarzy, powrócił na balkon. Julja, która nie słysząc wszystkiego, domyśliła się przecie rozmowy, drżąc ze wzruszenia także nalewała herbatę. Widząc powracającego Jana spojrzała na niego — ale jakim wzrokiem? Jedno wejrzenie takie mogło wieki mąk piekielnych nagrodzić. Starościna czując się nie bardzo silną i zdrową, usunęła się do swego pokoju, a podkomorzyna wyszła na ganek przyzdywać przy herbacie.

Prezes latał kulejąc po ogrodzie, zgrzytając resztą żółtych i czarnych zębów. —

Jan jak po bitwie osłupiał w dziwnym myśli chaosie spoczywał, marzeniem jakimś zdawało mu się wszystko co doznał i przeżył. Niemógł się zmusić do uśmiechu, do rozmowy, do wcielenia się w towarzystwo — był zabity. Wzrok tylko Julji odzywał go powoli i z odrętwienia wychodził.

— Co zrobić? mówił w sobie, co zrobić — porzucić dom ten — porzucić ją — wyrzec się —! Niemożę, zapóźno! Lecz co za przyszłość! co za męki! ile przecierpieć potrzeba! To dla niej! — Lecz będę miał siłę?

— Zbliź się pan do herbaty — zawołała Julja i rozpogodziła czoło, godziła się być tak smutnym między nami?

— Smutek jest nieproszonym i niespodziewanym gościem, który wchodzi i zasiada, gdy najmniej go wyglądamy.

— O! takiego gościa nie przyjmować. —

— Biedni goście! szepnął Jan — jeśli ich wypędzają, a im się tak chce pozostać.

Julja tylko słyszała te słowa półgłosem wymówione, i nic nieumiała na nie odpowiedzieć. Podkomorzyna wmięszała się do rozmowy i poczęła Jana rozpytywać o ojcu, którego chociaż była bliską sąsiadką, nigdy go nie widywała. Syn z miłością do zapalu posuniętą, odmalował jej życie spokojne, święte tego starca, który niczego nie żałował, po niczem nie tęsknił, modlił się, pracował, pocieszał drugich i czekał śmierci jakby pożądanej godziny połączenia z długo niewidzianym przyjacielem i towarzyszem. Łzy zakręciły mu się w oczach, Julja ich nie widziała, ale Marja postrzegła i jej także dwoje łez zamgliło czarne zrenice.

Jan zobaczył te łzy współczucia i serce mu uderzyło; — znowu uczucie niepojęte pociągnęło go ku Marji. — Ale to trwało mgnienie oka. Julja patrzyła na niego. —

Rozmowa stała się powszechną. —

— Pozwolisz mi pani powrócić tu? spytał korzystając ze szmeru Jan.

— Ja? wszakżem pana prosiła sama — a fałszem się brzydę i — szczerą jestem.

— A prezes —

— Możemy nieuważać na dziwactwa prezesa.

— Więc mogę?

— Kiedy pan nasze strony opuszczasz? głośniejszy spytała Julja.

— Nie wiem sam jeszcze.. — Czyż i pani mnie wypędza? rzekł ciszej.

— Właściem go namawiać chciała, żebyś pozostał przy ojcu, którego tak kochasz.

— Mam i inne zatrudnienia — obowiązki.

— Szkoda, wmięszała się podkomorzyna usiłując Julję ratować — rachowałyśmy na pana jako na tancerza.

— Ja mało tańczę.

— Doprawdy.

— A kto nie tańczy, na cóż się w towarzystwie młodem przydać może?

— Juściż, odpowiedziała Julja, trzyma szal i pilnuje krzesła i flakoniku.

— Tego się podejmuję najchętniej.

— A maszże pan do tej misji usposobienie — cierpliwość, wytrwałość, męstwo?

— To są cnoty, których się najpilniej wyuczyć starałem.

— Cierpliwość? dwuznacznie mówiła Julja.

— Niech mnie panie probują. —

— Wytrwałość?

— Wszak to tylko długa cierpliwość. —

— Męstwo?

— Są rzeczy, których się boję.

— Naprzykład?
— O bardzo wiele — długoby je liczyć było!
— Naprzód.
— Nienawiści ludzkiej
— A cierpliwość?
— Czy pomoże?
— Cierpliwość i męztwo chodzą z łagodnością, która jest siły oznaką.
— Ślicznie pani mówi. — Często człowiek niema cnót, które dobry nauczyciel wpoić mu może.

Ta część rozmowy już była cichszą, bo podkomorzyna zaczęła coś o balu, a Jan i Julja mogli ją prowadzić niepodsluchiwanie.

— Zechcesz być pani nauczycielem moim?
— *C'est selon* — naprzód wiedzieć muszę przymioty ucznia.
— Wielkie i nieograniczone posłuszeństwo i — dodał — wiara w niego i coś więcej jeszcze.

— Cóż więcej?
— Powiedzieć się boję.
— O! już nie jesteś pan mężny.
Przyznałem się do bojaźni w pewnych okolicznościach.
— Ale czyż tu jest czego się lękać?
— Może — bardzo.
— Ale kiedy ja chcę wiedzieć — to coś więcej jeszcze.
— Pani się go domyślisz.
— Jestem bardzo niedomyślna.

Podkomorzyna przerwała, pytając Julji, czy uważała na balu suknię strapczynej dobraną kolorami do munduru męzowskiego. Rzekłby kto, że z przywiązania, dodała, a jednak pani strapczyna zawraca głowy wszystkim panom urzędnikom do szczególnych poleceń.

Jan wziął za kapelusz i pożegnał towarzystwo, czuł się nie w stanie pozostać tu dłużej, prosił Julji żeby od niego przeprosiła starościna i pożegnała ją, gdyż był zmuszony odjechać.

Przy odjeździe ostatnie Julji wejrzenie dobiło Jana. Marja nieśmiała na niego podnieść oczów. Wkrótce tentent konia dał się słyszeć w dziedzińcu. — Prezes, który niedaleko krążył, wysunął się z za drzew i kulejąc pospieszył na balkon. Tu rozsiadł się przy Julji, milczący nalał sobie herbatę i oczyma tylko ognistemi rzucając po siedzących, pił i jadł łapczywie.

Skończywszy spojrzal na srebrny u tasiemki czarnej zaczepiony zegarek i skrzywił się.
— A starościna? spytał.

— Odpoczywa, trochę słaba.
— Muszę się z nią widzieć.
— Wątpię żeby teraz było można.
— Poczekam.

Sparalizowana rozmowa, której nawet dość mowna podkomorzyna, w obec, ziębiącego prezesa prowadzić dalej nieśmiała — przerwała się. Panny tylko szeptały po cichu. Dzwonek starościnej dał się słyszeć. Julja pobiegła i wróciła po chwili.

— Babunia prosi pana prezesa.

Wstał kulas i zmierzyszy okiem wnuczkę poszedł.

Staruszka jak zwyczajnie siedziała w swoim krześle i ochłonawszy z przykrego wrażenia, jakie na niej zrobiło obejście się prezesa z Darskim, oczekiwała zapowiedzianego gościa.

Wszedł kulawy i usiadł naprzeciw.

— Cały jestem w pasji, rzekł po chwili, niespodziewałem się tu zastać tego chłystka.
— Mój prezesie, cóż za dziwne uniesienie.
— Pani niewiesz jak ich nienawidzę.
— Czas było zapomnieć.
— Nie zapominam nigdy.
— To źle, to źle, to niepochrześcijańsku.

— Już jak to jest, to jest, a tak być musi. I proszę pani, żeby tu więcej nie bywał.

— Dla czego, prezesie?

— Bo ja tego sobie nie życzę.

— Nie widzę przyczyny, kochany prezesie.

— Starościna rozumieć mnie niechcesz, a więc nie obwijając w bawelnę, powiem co myślę. Wątpię żeby ten szerepetka śmiał pomyśleć o Julce.

— I ja wątpię.

— No — ale dziewczęciu się w złą godzinę głowa zawrócić może — panny Marji także nie dam za niego; a wręczcie cierpieć Darskich niemogę i spotykać ich tu niechęć.

— Mówisz prezesie, jakby Julka i Marja nie od siebie i nie odemnie, ale od ciebie tylko zależały. Przecież tu jeszcze ani mowy o niczem niema; ale gdyby co było, jać mam większe prawo rozporządzać wnuczką.

— Największe! i zupełne — kłaniając się rzekł prezes, a ja, ja, dodał — ja mam prawo mój majątek oddać komu zechcę.

— Tego ci nie zaprzeczam, odpowiedziała zmieszana trochę staruszka.

— I jeżeli nie po mojej myśli postępować się tu będzie, pewna że grosza po mnie Julja nie weźmie.

— Ależ nic się przecie nie myśli, nie robi.

— Tak — i właśnie póki nic niema, czas przestrzedz.

Starościna tonem i myślą rozmowy widocznie była urażona i pomieszana.

— A więc Darskiemu napisać czy powiedzieć, żeby nie bywał.

— Wczoraj pisałam do niego zapraszając sama, tego uczynić nie mogę; powodu nie dał.

— Dał powód, mówił mi niegrzeczności.

— On! tobie prezesie.

— Tak w domu starościnej, jej krewnemu opiekunowi.

— To być nie może.

— Tak jest.

— Cóż mógł ci powiedzieć?

— Kazałem mu iść precz.

Starościna, łamiąc ręce powstała na krześle. — Prezesie, godziź się to?

— Co to godzi nie godzi, zrobiłem tak i kwita; — odpowiedział mi hardo, że niemam prawa, że

— Miał słuszność.

— On?

— Prezesie zlituj się, zapominasz się, poniżasz sam.

— A więc go niewypędzisz pani?

— Ale to być niemoże.

— Więc moja noga tu niepostronie, póki on w tych stronach kręcić się będzie; a jeśli Boże uchowaj Julka — no! — nie potrzebuję wiele mówić. — Jestem jeszcze panem mojego majątku.

To powiedziawszy wstał i wyszedł.

Dla rozjaśnienia groźb, które prezes tak grubijańsko rzucał w oczy staruszce, dodać musimy, że bogactwo Julji i jej przyszłość całkiem prawie spoczywały na prezesie. — Ogromny, sknerstwem niesłychanem zebrany majątek testamentem był jej przekazany; na majątnościach starosty summy za życia jego pożyczone od prezesa ciążyły.

Prezes więc zagrażał staroście i jej wnuczce zupełnem prawie ubóstwem.

Nie dziw więc, że babka rozplakała się łzami rzewnemi po wyjściu jego.

Julka wyprawwszy do ogrodu swoich gości z Marją, sama jakby przeczuwając potrzebę pocieszenia staruszki, wbiegła do jej pokoju. I zastała ją we łzach.

— Babciu! co to babuni!

— Co? nic, — nic — tak — myślałam sobie — modliłam się i lzy mi jakoś potoczyły się z powiek. To mówiąc przyciskała, tuliła jedyną wnuczkę do siebie

— O! nie! nie — coś to jest, tu był prezes — niech mi się babcia przyzna.

— Ale nic mi nie jest, dziecię moje.

— Jakto nic? To nie te lzy co płyną za przeszłością, ja się znam na tem. Babunia nic mi nie utai.

— Roi ci się, dziecko moje najdroższe...

— A chce babunia to powiem co to jest? i czego płacze?

— Ja?

— Tak — prezes chce wypędzić Darskiego od nas, choć nie wiem co on tu mu szkodzić może; babcia nieśmie tego zrobić, a on gotów po swojemu zaraz grozić, że mi swoją fortunę odbierze! Mój Boże! a co mi to szkodzi! nie łakomą jestem na jego majątek! Na co mi on — dość będziemy miały swego.

— Niewiesz co paplesz.

— To prezes babciu paple, u niego lada co, jedna groźba na języku, — nieuważać i po wszystkim.

— Jednak, gdybyśmy mogły grzecznie, niehybiając, dać do zrozumienia Darskiemu, już ciż dla nieznanego człowieka taki mieć kłopot i strapienie.

Julja zczerwieniała się, zmięszała.

— Jak chcesz babciu, rzekła, jak chcesz.

Starościna spojrziała na nią i postrzegła dwie wielkie łzy, które kręciły się w oczach dziewczęcica, jak dwie jasne perły.

Przełękła się. — Jakto — już! już! zawołała.

Nic nie mówiąc głowę skryła Julja na kolanach babki, która przełękła, poruszona, słowa więcej w ustach znaleźć niemogła.

— O mój Boże, odezwała się nareście, otoż to moja niedołączna starość, dopuścić do tego, żeby pierwszy nieznanomy, Bóg wie kto, zawracał głowę dziecku najdroższemu...

Upamiętała się Julka i po cichu rzekła:

— Głowy mi nie zawrócił, — ale czuję, że gdybym go nigdy, nigdy zobaczyć nie miała, na całe życie smutną — może nieszczęśliwą bym była. Ja go nie kocham jeszcze, ale nie wiem, nie wiem — coś mnie pociąga.

— Cicho! cicho! na miłość Bożą, cicho! a nuż kto posłyszyl! dziecko moje! zlituj się nademną! kara Boża! kara Boża. —

I zniżając głos dodała:

— Widziałas go ledwie kilka razy, po chwilce, nieznasz, niewiesz — to dzieciństwo.

—

— Tak to dzieciństwo — sprubujże babunia, pisz niech tu więcej niebywa, zobaczysz.

—

Starościna spojrziała na wnuczkę —

— Doprawdy?

— Sprubuj — cóż szkodzi sprubować? śmiejąc się boleśnie dodała wnuczka. —

Ale staruszka siły sprubować nie miała...

Stary znów siedział na kamieniu pod krzyżem, gdy Jan nadspodziewanie prędko z Dąbrowej powrócił. — Spytał go o przyczynę powrotu i syn nic nie zataił, powtórzył nawet całą swoją rozmowę z prezesem.

Darski uśmiechał się z politowaniem. —

— Długa, rzekł, pamięć, długa nienawiść, niech mu ją Bóg przebaczy, jak ja mu ją daruję. Zawsze był takim, życie całe, gwałtownym do szału, namiętym do zapomnienia się. I wiek go widać nie zmienił. —

Jedną miał dobrą chwilę w życiu, tę w której na cnotach matki twojej się poznał — niemogę gniewać się na niego, że mści się na mnie za nią — ja po niej dotąd płacę. Każdy tak kocha jak umie — on przedłuża swe przywiązanie zemstą, ja łzami.

— Ale — dodał starzec — ty tam więcej nie będziesz.

Jan zdziwiony ust nie otworzył.

— Niechę i zakazuję ci tego, dla chwilowego i jeszcze nierozwiniętego kaprysu dla kobiety, jakich tysiące po świecie może — wnosić w dom niepokój, w rodzinę poróżnienie, może łzy, żal — niezliczone strapienia i skryte boleści — niegodzi się — niegodzi. Znam prezesa, wiem okoliczności w jakich zostaje starościna; cały majątek wielki, którego spodziewać się może Julja, w prezesa jest rękach. Zapisał go, ale może odebrać. Staruszka tegoby nie przeżyła, a przy gwałtowności tego człowieka dla fraszki gotów to zrobić.

— Alboż ja chcę bogactw — ja kocham Julję —

— Już ją kochasz? Janie! Janie! nie profanuj tego słowa, lada miłostek nim nie zwać, bo na święte uczucie potem wyrazu ci nie stanie. — Mówiłeś mi wczoraj — gdy ci rozkażę, porzucisz. W żadnym innym razie nie rozkazywałbym ci nigdy — tu muszę. —

Jan spuścił głowę.

— Ojcie — spytał — miałbyś odwagę rozkazać mi. Ty wiesz, ja nigdy nie kochałem jeszcze, ale teraz czuję, że ją kocham i czuję że na zawsze. — To nie jest przechodzące uczucie, to właśnie ta święta miłość, o której mówisz. — Bez niej niema dla mnie życia.

— Mój Boże — tak się zapalić od jednego wejrzenia.

— Znam ją, jak gdybym żył z nią wieki, każdą jej myśl czytam w oczach, rozumiem każdy wyraz niewymówiony, co się w jej ustach zatrzymał.

— Ale któż ci zaręcza, że ona kochać cię będzie.

— Jakto? jam o tem niewątpił na chwilę — taka miłość jak moja, nie może być bez wzajemności.

— Dla czego?

— Wytłumaczyć nie umiem, czuję i jestem tego pewien.

— A jednak niepojedziesz tam więcej.

Ojcie! to nad siły.

Stary Darski wziął syna za głowę, pocałował go w czoło i z uczuciem, rzekł:

— Jeżeli mnie kochasz, Janie!

— O mój ojcie! o mój ojcie! Tyle tylko wyjęknął i zakrył oczy.

— Nie rozpaczaj, rzekł starzec — jeśli to jest niezwalzone przywiązanie z obu stron, nie będę się zastanawiał ani nad groźbami prezesa, ani nad niczem w świecie. Jutro pojedziesz do Litwy, pół roku nie będziesz u mnie. Po powrocie możesz być u starościny.

— Teraz — nie.

— Jakto? odjechać bez pożegnania, gdym być obiecał.

— Trzeba, Janie.

— Cóż one pomyślą —

— Niech myślą co chcą.

— Żem się zląkł prezesa.

— Chociażby. Jeśli cię ta kobieta kocha, nic złego niepomyśli o tobie; przywiązanie jej przeżyje bez nowego pokarmu pół roku. A teraz, chodźmy do domu i poczytaj mi trochę, oczy mnie bolą...

Nazajutrz Julja i Marja siedziały pod znajomymi nam dębami — była to chwila zwyczajnej przechadzki, wieczór, ale wietrzny, burzliwy, prawie chłodny; pomimo to Julja oparła się jak rozpieszczone dziecko i pociągnęła z sobą towarzyszkę w dąbrowę.

Nigdy jeszcze Julja nie była tak smutną i pomieszaną, ona której wesołość i trzpiotowatość niczem dotąd pokonać się nie dały.

— Pamiętasz, mówiła — naszą rozmowę w tem miejscu, tego wieczora, kiedy pierwszy raz zastał nas tutaj.

— O! mogłażem ją zapomnieć — odpowiedziała Marja — to był jakby program twego życia, ale spodziewam się fałszywy, i ty dziś sama odstąpisz od niego.

— Nie — nie!

— Jakto? a nasza dzisiejsza ranna w ogrodzie rozmowa.

— Alboż jedno przeciwi się drugiemu?

— Wszakże biedne roztrzępane dziecię, jużci mi się przyznała, że go kochasz.

— O! kocham go! z uczuciem zawołała Julja, kocham go! czuję — to mój pierwszy, to mój ostatni kochanek.

— A owe długie próby, owe —

— Poczekaj, to się dopiero zacznie.

— Jakto, mówisz, że go kochasz, i będziesz miała siłę?

— Właśnie dla tego, że kocham; chcę tą drogą miłość moją tak ubezpieczyć, tak zapewnić sobie, że największe ofiary spełnię dla niej. Ja wiem, że on mnie już kocha jak ja jego, lecz czy kochać będzie, czy stale? czy mogę rachować na niego — na wieki?

— Cóż w życiu trwa na wieki?

— Wiek — to póki życia, któż wie jak długie życie.

— A ty je tracić będziesz na próbach. —

— Potrzeba!

— Powiedź mi, wejrzenie, słowo i to nieopisane jakieś uczucie, co ci mówią, że on cię kocha, czyż nie dość jeszcze zapewnają?

— Nie dosyć, chcę wiedzieć czy miłość wytrzyma próby.

— Juljo, ty go niekochasz, tylko głową. Uraziła się Julja. — Niewiem jak, to wiem, że ty zimna biedna istoto nigdy tak kochać nie będziesz nikogo.

— O! ja, odpowiedziała Marja, nigdy, nikogo —! i ciszej powtórzyła raz jeszcze do siebie ze smutkiem — nigdy — nikogo — a łzy kręciły się jej w oczach.

Julja przeczuła więcej, a raczej usłyszała łzy te w głosie, niż je zobaczyła i rzuciła się na szyję przyjaciółce z namiętym zapałem. — Przepraszam cię! przepraszam. Biednam ja! słowa nawet moje kaleczą, cóż dopiero miłość moja.

— Może zabić — cicho powiedziała Marja — powiedz mi, prawdziwież to, szczerze mówiłaś o próbach, o doświadczeniu.

— Słuchaj, jam dziecię według was wszystkich, ale w sobie czuję, żem dorosła uczuciem i myślą miary, za którą nie przejdę. — Jestem uparta, mówicie, bo mam przekonanie własne; czego chcę, wiem i gdy chcę mieć muszę. Miłość jest wielkim celem mojego życia, ale nie taka jaką pospolicie widujem, nie uperfumowana, w glansowanych rękawiczkach i czarnym fraku, — nie! nie! Wszystkom gotowa jej poświęcić, ale chcę żebym jej stała za wszystko. — Prezes mnie wydziedziczy, będę prawie ubogą — o to mniejsza, ale chcę być szczęśliwą i pewną, że ten komu się oddam, będzie prawdziwie tym, kogo oczekiwałam.

— Cóż cię zapewnia, że pierwszy dla którego uderzyło twoje serce, jest tym oczekiwanym kochankiem.

— O! ja go kocham, ja to czuję! ale kochając drzę i boję się. Muszę nim mu powiem to, co mi z ust się napiera, być pewną, że i on kocha mnie całą duszą, całym sercem, że mi wszystko poświęci.

— Wszystko! są rzeczy których nawet kochance człowiek poświęcić nie może.

— Tak, czci swej, poczciwości, obowiązków świętych.. — lecz siebie całego.

— Cóż myślisz?

— Nic, będę go męczyć, będę go próbować.

— I na toś go pociągnęła, uludziła.

— Żeby kochał i cierpiał. — O! wierz ja mu to nagrodzę — nie będzie żałował...

Jeszcze szeptały między sobą, gdy Jan, któremu stary niepozwolił być więcej w Dąbrowej, szukając sposobu widzenia Julji, przyjechał pod dęby w nadziei, że ją tam zobaczy i pożegna.

Julja posłyszała tentent, Marja pierwsza domyśliła się kto jedzie, i niechcąc doczekać nowego tajemnego widzenia się, starała się pociągnąć z sobą towarzyszkę do szybkiej ucieczki. Stanowczo odpowiedziała jej Julja:

— Nie pójdę.

— Zmiłuj się, ludzie co wszystko wiedzą, dowiedzą się o naszych przechadzkach, o tem że on tu bywa — i cóż powiedzą na ciebie, na mnie.

— Niech mówią co chcą — ja robię com — powinna.

— Ale ty właśnie tego robić niepowinnaś.

— Spuść się na mnie.

Jan już zsiadał z konia i witał.

— Teraz przekonuję cię, zawołała Julja, że pan polubiłeś to miejsce jak my.

— Albo miejsce, albo — tych, których tu spotykam...

— Wiedziałam, że się na tym komplementie skończy.

— Przyznam się nawet pani, że na ten raz więcej w nadziei, iż tu panie zastanę, niż w innej jakiej myśli jechałem.

— A! dziękujemy.

— Bo w Dąbrowej być niemożę, a jutro, lub dziś jeszcze może odjeżdżam.

— Pan już jedziesz? spytała Julja.

— Jutro, lub dziś nawet.

— Koniecznie? I patrzyła mu w oczy, próbując siły swego wzroku.

— A! koniecznie — koniecznie.

— Tak że ani uprosić, ani wstrzymać pana.

— Ktożby prosił? ktoby wstrzymywał?

— A gdyby?
 — O! niemożna! smutnie rzekł Jan.
 — Czyż wola, jeśli nie własna wypędza ztąd pana?
 — Ojca mego.
 — Przed tą schylamy głowę — chociaż powiem szczerze, szkoda nam pana. — W tej piaszczystej i kamienistej Litwie zapomniesz o wołyńskich znajomych?
 — Ja — niezapominam nigdy, co raz w życiu oceniłem, do czego....
 Nieśmiało dokończyć, spojrzeli na siebie.
 — Jedźże pan z Bogiem! z udaną obojętnością rzekła Julja, a kiedy możemy go się spodziewać.
 — Za pół roku.
 — A! tak prędko!
 — Prędko? mówisz pani?
 — Alboż powiedziałam?
 Julja mówiła szybko z udanym trzpiotostwem i obojętnością, przez którą rozdrażnienie widać było, Jan smutnie.
 — Cóż to dziś mamy?
 — Pierwszy sierpnia.
 Julja liczyła na palcach. A więc zdaje mi się pierwszego lutego.
 — Skończy się pół roku.
 — W samym karnawale.
 — Pierwszego więc, w sam ten dzień przystawisz się pan do Dąbrowej?
 — Każesz pani?
 — Alboż mówiłam, że każe? nie — a — zresztą chcesz pan żebym kazała?
 — Proszę —
 — Więc każe.
 — Pierwszego lutego będzie wielki tańczący wieczór u babuni, będziemy mieli cały nasz świat — prezesa.
 — I prezesa — spytał Jan.
 — A naturalnie.
 — I podkomorzynę, i pannę Matyldę —
 Mówiła machinalnie, a wciąż nieublaganym wzrokiem wlewała w serce Jana, drżące i już zbolące, nowa boleść, nowe żary, które go pół roku palić miały.
 Żebyś zaś pan niezapomniał o przyrzeczeniu stawienia się za pół roku — ułamała gałąź dębową i odrywając liść podała go — oto *zielone*, które nosić przy sobie proszę pana. Na pierwszy lutego, do pierwszego mazura pana zapraszam. — I jeszcze podała mu rękę *a l'anglaise*, dłonie ich zadrżały konwulsyjnie, wszystka krew, całe życie spłynęły w tę dłoń szczęśliwą, która jej rączki dotknęła. I była chwila takiego uniesienia, że Julja nawet szyerski ust wyraz zmieniła; lecz to trwało oka mgnienie.
 Do zobaczenia.
 Jan nic nie odpowiedział, w głowie mu się przewróciło, spojrzął na Julję smutnie, długo, na Marję co go żegnała milcząca, rzucił się na koń i uciekł.
 — Możeż ona kochać? mówił w drodze do siebie, ona szydzi tylko — ona tak obojętna, tak zimna! Lecz jak dłoń jej drżała w mojem ręku? Co mówiły jej czarodziejskie oczy! O! biedna głowo moja, o biedne serce — co się z wami dzieje. Julja, Marja — obiedwie! Jedna — sam niewiem, szaleję.
 I zaciął siwego z całych sił, a Lebed szarpnął się do razów nieprzywykły i jak strzała go uniósł.
 Gdy zniknął im z oczów, Julja padła na kanapkę. — Zobaczę go kiedy? spytała Marji, nie odstręczyłażem go mojem trzpiotostwem? Co on myśli o mnie? Zechcesz on powrócić? O Marjo, Marjo! ratuj mnie, serce mi pęka. A Marja kołysała ją i pocieszała jak mogła; choć biedna sama też potrzebowała pociechy, choć cierpiała daleko więcej. Bo i ona go kochała, ale miłością bez nadziei, miłością, która podobna jest do stepu piaszczystego, gdzie niema końca, niema rosy, niema źródła. W górze słońce co zająć niemoże, pod nogami fale piasku, i nic więcej — nic więcej. A ta miłość zrodzona nagle, odpychana, walczona, musiała pozostać na wieki w sercu, nie dojrzana oku, niepocieszona niczem, nie osłodzona nigdy.

Biednej sierocie i to cierpienie było szczęściem, bo kochać choćby bez jutra i przyszłości, zawsze jest najwyższym dobrem na ziemi. Jest to kielich goryczy, którego spragniony pije z rozkoszą, bo wypilby truciznę, tak go spaliło pragnienie.

Tak właśnie kochała w cichości Marja, której życie całe było pragnieniem, bez kropli rosy, bez ochłody...

Pół roku minęło. — Lecz jakie postępy zrobiło uczucie w dwóch sercach, w trzech sercach, które dla siebie były zdaleka? Niewiem czy kiedy psychologowie zastanawiali się nad chodem namiętności, której przedmiot jest daleki oczom ciała, a przytomny duszy tylko. A jednak szczególniejsze objawiają się tu symptomata. Wszystko co zasiewamy w dusznym świecie naszym, rośnie i olbrzymieje; — przedmiot przywiązania także idealizuje się w nas, uskrzydla i pięknieje; często także na jawie potem ujrawszy go, dziwim się, iż tak nam zbrzydł i zmałał. Kochankom po długim niewidzeniu, gdy się długo oczyma tylko duszy widzieli, spotkać się, zobaczyć, częstokroć niebezpieczna. Któż zrównać potrafi ideałowi? —

Wygnaniec co lat kilkadziesiąt ukochanego kąta obraz miał w sercu, wróciwszy doń, znajduje wszystko zmałałe, skarlałe, upadłe. I kochanek często po roku niewidzenia, ustroiwszy kochankę swą w myśli wszystkim co mu jego ideały dostarczyły, dziwi się nie widząc w niej tego, co się zobaczyć spodziewał.

Ileż to razy tak się z ludźmi dzieje. — Przykre odczarowanie to trwa tylko chwilę — obraz idealny zaciera się, niknie, porównanie staje się niepodobnym i znowu radziśmy rzeczywistości.

A! w duszy ludzkiej jakie jasne i wielkie życie. Ziarno co tam wpadnie, jak złocistym strzela kłosem, myśl posiana jak kwiecisto w niej buja. — Czemuż ziemia z najkrańszą rzeczywistością swoją przy ideałach nadziemskich —? —

Człowiek nie jeden sprawy sobie niezdaje z tego przestרחu, jaki go obejmuje, gdy radośny, szczęśliwy wstępuje na próg, którego łzami wita — boi się — i niewie, że lęka się, by złoty ideał duszy w proch się mu nie rozsypał.

Był wieczór mroźny, wyiskrzony, jasny od śniegu i księżyca, jednej z tych zim srogich, które nam po gorącym lecie przypominają się zdają, żeśmy północy mieszkańce. Na niebie czarnym księżyc błyszczący, gwiazdy migotliwe i mleczna droga jak złocista gaza jakiegoś uciekłego bóstwa. — Na ziemi białe śniegu zasy gdzieniegdzie podnoszące się ścianami dziwacznych i zataczające po drodze — Głuche śmierci milczenie, wielki smętarz ziemia. Na białym całunie gdzieniegdzie sterczy jak krzyż na mogile, czarne drzewo, leży pasem las ciemny, dźwiga się szara budowla — migoczą pyły śniegowe, lśni się droga wyszlizgana.

Jeśliś kiedy zimą, w nocy jechał pustym krajem, nie zadrżałeś czytelniku na widok świata, którego się zdaje wymarłym, bez życia. —

To wyiskrzenie śniegów i niebios, te milczące światelka migoczące ze wszystkich stron zdają się oczkami duchów, co pilnują mogiły. Przeciągły tylko przykry skrzyp sani, szelst gałęzi suchych i szum wichru słychać pośepny. — Smutne myśli zabiegają do głowy i gnieżdżą się w tęsknem sercu. Zdaje się że z tych oków śmierci świat się już do nowej wiosny wydobyć nie potrafi!

Małeńkie sanki skrzypiały po zmarzłych śniegach i posuwały się szybko, szybko ku oświetlonemu domowi. — W końcu długiej ulicy jaśniały okna Dąbrowej. Dziedziniec pełen był ludzi, pełen gwaru, liczne powozy zajeżdżały przed ganek, w sieniach sług pełno.

Starościna dawała wieczór pierwszego lutego i całe sąsiedztwo było nań zaproszone. U drzwi salonu stała Julia z Marją, obie w białych sukniach, z różowymi wstążkami. — A pod białymi ich sukienkami były dwa serca niecierpliwością, oczekiwaniem, niepewnością, nadzieją. — Julia śmielsza co chwila szeptała na ucho Marji: — Czy przyjedzie? powiedz mi, droga Maryniu, czy przyjedzie?

— Niewiem Julko! niewiem. — I za każdym drzwi otwarciem i niebieskie i czarne oczy zwracały się na nie.

Bo obie niezapomniały Jana. Pół roku mieszkał w duszy ich, i miłość wzrastała nieobecnością, rosła, stawała się codzien gwałtowniejszą. Julja była nią upojona, marzyła rozkosznie — wierzyła w swą przyszłość; Marja karmiła się, by umrzeć bez nadziei — i bladła i smutniała. A kochały go obie. — Pierwsza więcej głową, druga sercem więcej, obie gwałtownie, i obie na wieki! Tak przynajmniej mówiły sobie. Ale pierwsza nie tała się z uczuciem, dzieliła się myślami, druga żyła w sobie zamknięta, czekając — rychło przyjdzie śmierć i wyzwolenie. Gdyby ją nawet kochał, co być nie mogło — mogłaż mu za czystą miłość jego, oddać skalaną istotę, którą skaził oddech występku i pocałunek rozpusty?

Jeszcze Julja nieskończyła pytania, na które Marja odpowiedzieć nie miała czasu, gdy Jan wytwornie ubrany, z dębowym liściem u fraka zręcznie przypiętym, tak że jego brzeżek wyglądał naksztalt wstążeczki orderu ś. Huberta, wszedł poważnie do salonu.

Julja zczerwieniła się jak róża, pulsa uderzyła jej w skroniach, serce podniosło się gwałtownie — Marja zbladła jak ściana i oddech ściał się jej w piersiach.

Jan stał przed niemi. —

— Dziś pierwszy lutego! rzekł kłaniając się.

— Dziękuję panu za dotrzymanie słowa.

— A oto *zielone*, rzekł wskazując liść dębowy, cóż kiedy mimo największych starań zielone stało się prawie czarnem! Czy wszystko tak się zmieniło? spytał.

— Liście nie ludzie — odpowiedziała Julja.

— Czyż liście nie dłużej często są zielone dla nas od ludzi?

— Idź pan przywitaj babunię. — I wskazała mu ją, bo sama pomieszana z radości mówić nie mogła.

Starościna, dla której oka i serca niebyło tajemnicą, więcej domyśliła się niż poznała Jana; przyjęła go uprzejmie, spytała o ojca, o podróż, i dozwoliła mu odejść po chwili.

Ledwie się odwrócił Jan, spotkał oko w oko — prezesa. W tłumie prezes miał się trochę na bacności, żeby głupstwa nie zrobić, zwłaszcza że od wnijscia poznał Jana i miał czas się wyburzyć; jednak — gdy się zetknęli, cofnął się sapiąc i stukając laską, groźnem rzucił okiem na niego, zaciął usta sine, ruszył ramionami i uszedł.

Jan tylko mu się uklonił.

Nie będziemy opisywać ani tego wieczora, ani mazura w którym Jan podbił całe żeńskie i część męzkiego towarzystwa, ani rozmowy urywanej — jego z Julją i Marją. Powiemy tylko, że Julja płacąc posłuszeństwo i nie myśląc jeszcze o swoich próbach, widocznie i tak widocznie, że wszyscy to postrzegli, — Jana wyróżniła nad otaczającą ją młodzież.

W istocie zasługiwał na to, nietylko powierzchownością odznaczającą się, ale swobodą obejścia, dowcipem, przytomnością, słowem wszystkim co składa młodości życie, wdzięk młodego mężczyzny. Ci co najusilniej zazdrościli mu, nie śmieli i niemogli nic mu zarzucić. Wszystkich zaś najmocniej dziwiło, z kąd młody ubogi człowiek wziął tak dobre wychowanie, ton i takt tak przyzwoity i tę śmiałość, którą tylko daje w świecie albo wielka wyższość umysłowa, albo wielkie bogactwo.

— Kaci go wiedzą, mówił zjadając gałkę od laski prezes, z kąd mu to wszystko? Tać to szerepetka, a minę ma pańską i tak pewny siebie ten intrus, jakby łaskę robił, że tu przyjechał. A przyjechało to pewnie na chłopskich sankach, w siwych barankach.

— Przepraszam pana prezesa, przerwał młody pan Kazimierz krewniak podkomorzynę, poprawując kamizelki, którą miał na balu powiatowym, — wysiadaliśmy razem. Przyjechał parą ślicznych kareciany koni, w czarnej szubie jakiej jeszcze niewidziałem.

— To chyba gdzie ukradł czy pożyczył, boć to hołysze. —

— Oj! coś to nie wygląda na hołysza. —

Któs inny uważał, że ubranie Jana było tak wymyślne, wytworne i piękne, choć nie bijące w oczy, że mógł się w niem bo daj w Paryżu pokazać.

Prezes się wściekał. Podkomorzyna czmychała nieśmiejąc jeszcze na to sobie dozwolić, ale przypuszczając, że gdyby Matylda ze swemi nerwami podstarzała, możnaby ją z listem wydać za Jana.

— Bardzo poważny! bardzo przyzwoity! mówiła sobie — szkoda tylko, że tak ubogi.

Nic bardziej przylegającego do siebie nad młodzież — Jan łatwo ją sobie zaskarbić potrafił, poznał się z nią, zpoufalił. Wszyscy już ku końcowi wieczora podawali mu dłonie

jak staremu znajomemu. Jan bowiem nie był jednym z tych sztywnych automatów, co w jasnych rękawiczkach, palec jeden w kamizelkę włożywszy, przechadzają się po salonie; — z każdym zrozumieć się, sympatyzować, zbracić umiał. Wesół dziś bo szczęśliwy, wkrótce stał się duszą zabawy i wziął na siebie jej kierunek. Dziwnym szczęściem nikt mu nie zazdrościł, nikt na to nie sarknął, wszyscy mu pomagali.

Wieczór był ochoczy, i przeleciał strzałą. — Już dniało dobrze, a w lutym jak wiemy dnieje około szóstej godziny, gdy się goście rozjeżdżać poczęli.

Wszyscy młodzi ludzie z kolei żegnali Darskiego, prawie jednemi słowy:

— Bracie, niezapomnijmy się — i kochaj mnie jeśli możesz.

— Darski bądź zdrow, pamiętaj żeśmy od dziś jak dwa palce dłoni.

Czemże ich ujął? spytacie.

— O! naprzód sercem, które gdy bije w piersi, odpowiedzą mu inne; prostotą, szczerością, — a w dodatku — gdy w chwilach spoczynku poszli na kielich wina i cygara, gdy rozbujane myśli łąć się i szumieć poczęły z szampanem, każde słowo Jana, którem wyrażał szlachetne i piękne uczucia, w piersi młodzieży znajdowało odgłos spółczucia. — Często jeden wieczór taki wiąże przyjaciół na całe życie. A jak się żyje w takim uniesieniu szybko, żywo, jak wszystko: krew, myśl, przyjaźń, miłość przyspieszonym krąży biegiem. Cóż dziwnego, że po sześciu młodego uniesienia godzinach, jesteśmy jak po roku znajomości starzy?

W połamanej, porozrywanej, i co chwila rozdartej i znowu wiązanej rozmowie z Julją, gdy i ona i on porwani byli tą exaltacją, jakiej każdy doznać musi wśród zabawy, ruchu, zgiełku, uroku muzyki i światła, — powiedzieli sobie więcej niż kiedykolwiek dotąd.

Marji już niewidział prawie Jan.

Marja siedziała w kątku, tańcowała jak zmuszona, ślizgając się po posadzce niby cień smutny; niekiedy tylko wejrzeniem objęła szczęśliwszych i — dumiała. —

I ją otaczało grono młodych, i jej szeptano słówka, co słodziej niż muzyka brzmią w uszach kobiety, lecz dla niej był to szmer gałązek, szum wody — nic więcej.

Serce było gdzieindziej.

— Panna Marja chora albo zakochana, mówiła młodzież.

— Panna Marja zawsze taka! tłumaczyli inni.

— Ma suchoty! dodał ktoś trzeci.

— Juściż podobniejsza do nich od panny Matyldy, która napróżno sentymentalnym kaszlem chce zwabić narzeczonego do tłustych swych wdzięków. — Nie oszuka nikogo!!

Dzień światał, trzeba jechać było, Jan pożegnał Julję, która po cichu spytała go:

— Wszak się zobaczymy?

— Możesz być inaczej? odpowiedział.

Jadąc do Dąbrowej po nocy, niewyrachował się Jan, że dniem powracać będzie i wziął śliczne peterburskie sanki i parę przepysznych koni, które mogły wydać tajemnicę jego majątku. Julja, która stała w oknie gdy odjeżdżał, postrzegła i zaprząg i ludzi wytwornie poubieranych i Jana, który musiał jej się uklonić, a wiedząc o ubóstwie Darskich pojąć nie mogła, co znaczył ten kosztowny przybór Jana, który tak dalece wszystkim bił w oczy, że o koniach pozostali jeszcze mężczyźni długo potem mówili.

— To są resztki ich pięknej dawnej fortuny zapewne — odezwała się podkomorzyna, która coś zaczynała przewąchiwać, ale mając na myśli swatanie Matyldy, nie bardzo chciała rozgłaszać to, czego się już domyślała. Przyszło jej na myśl, że przed pięć laty rozeszła się była wieść o wielkim spadku na Darskich, ale że ojciec stary z kąta się swego nieruszył, i życia niezmienił, wzięli to wszyscy za bajkę.

Jan powrócił rozmarzony i szczęśliwy do domu. — Julja padła na łóżko w swoim pokoiku, dłonią gorące przyciskając czoło, Marja modliła się.

Około południa starościna przysłała po Juię. — Znalazła ją wnuczka smutną i zamyśloną, prezes ze zwykłemi swemi groźbami tylko był odszedł.

Na widok wnuczki rozplakała się staruszka. — A! to znowu prezesisko nieżnośne! zawołała Julja — o! przysięgam babuni, że to raz ostatni.

— Moje dziecko — nie rozpaczajże.

— Babciu — i Julka upadła jej do nóg — zaklinam cię zrób raz, o co cię prosić będę.

— Ty wiesz jak kocham ciebie, jakem słaba gdy o ciebie chodzi, nie proś mnie o nic strasznego!

— Nie! ale co mi każe moja godność i twoja. — Zrzeczmy się testamentu prezesa i jego majątku — wynijdźmy raz z pod tej nieznośnej, nieustannej groźby, która nas poniża.

— Coż poczniemy?

— Alboż tak straszne ubóstwo? wszystko oddawszy mu, zostanie nam choć jeden folwark Dąbrowa i tego będzie nam dosyć. Tobie babciu na niczem nie zabraknie — twe życie na jedno ziarnko się nie zmieni; ja tych bogactw niepotrzebuję. — Ono mi życie psują. Będę mogła być pewną przywiązania mojego przyszłego, póki mi się zdawać może, że kocha we mnie lub ze mną pieniądze moje?

— Ty niewiedzieć co pleciesz. —

— Babciu, napastliwie powtórzyła ze łzami Julja, jeżeli mnie kochasz — ja cię o to błagam. Ja wiem ile ci przykre obejście i panowanie prezesa, cierpisz to dla mnie, ja cierpię go tylko dla ciebie. Wolna zrzekłabym się w jednym mgnieniu oka i jego zapisów i jego gróźb. — Uczyń to dla mnie!

— A! to prawda! zawołała starościna, że byłybyśmy wolne!

— Więc pozwalasz na to?

— I tybyś się wyrzekła wszystkiego?

— Z radością, z uniesieniem, z wdzięcznością. —

— Ale cóż poczniemy —

— Ja mu to powiem.

— Dziecko! ty go śmiertelnie obrazisz.

— Babciu — jak cię kocham, a to największe zakłęcie — zaręczam ci, że będę rozumną — że będę grzeczną — skończmy raz to życie niepewności.

— Ty sama chcesz tego — i nie boisz się?

— Czego?

— Ubóstwa.

— O! to szczęście! poznamy kto nas szczerze kocha — a ubóstwo, gdy nam zostaje czysta i własna Dąbrowa, ze swym ogródkiem i kwiatkami — to — szczęście!

I wybiegła swobodna, śpiewając — szukać prezesa. — Babka się modliła i płakała, wyrzucając sobie że tak łatwo pozwoliła na zrzeczenie się milionowej fortuny. Szczęściem trafiła w książce nabożnej na godzinki do Opatrzności, i w nich jakby ręką losu wskazaną umyślnie, wyczytała pociechę.

Tym czasem Julja szła do salonu, gdzie prezes żółty, kwaśny, zły, gderzący, czytał kurjera i dławił się nim i bułką. Usiadła naprzeciw niego, ten zmierzyl ją okiem ponurem.

— A co, natańcowałaś się?

— O! wybornieśmy się bawiły. Nicby mi niebrakło, gdybym co trzeci dzień nie działa babci we łzach.

Prezes ruszył ramionami — A któż winien jej, że płacze.

— Nie wiem, ale wiem, że jej łzy na moją duszę padają, jak rozpalony żar.

— Ślicznie panna mówi — to starajże się pocieszyć babunię.

— Właśnie myślę o tem jak raz na zawsze łzy jej otrzeć.

Prezes burknął coś pod nosem.

— No? i znalazłaś panna sposób?

— Zdaje mi się.

— Ciekawym.

Julja milczała, niechciała sama zaczynać.

— Paniencie wesoło na świecie, chciałoby się, żeby jej i starzy dopomagali.

— Czemuż mnie i im dobrze i wesoło być nie ma?

— A zapewne —!

Znowu milczenie chwilowe; prezes, który się burzył Darskim, a widząc na wieczorze jak się wszystkim podobał, jak Julji nadszkakiwał, podwójnie go zniecierzył; niemógł dalej wytrzymać.

— Czego się tu ten Darski wasz kręci?

— Co pan prezes mówi?

— Niby panna niesłyszeli!

— Słyszę, ale zrozumieć nie mogę. — Babunia go przyjmuje, któż mu może wstępu do domu zabronić?

— Kto? a gdyby ja?

— Proszę pana prezesa, a jakimże to prawem?

— Prawem! patrzajcie ją! Stuknął laską, — co to panna ze mną prawować się myślisz? Do stu katów! panna wiesz, że co masz to z mojej łaski, co mieć możesz to moje tylko!

— Niechże będzie prezesa. — Wiem że reszta majątku, prócz Dąbrowej, obciążona jest długami p. starosty, nieboszczyka dziada; że mój wielki majątek, o którym tyle mówisz, winna być mam panu prezesowi; — lecz jeśli swoje dobrodziejstwa dla nas każesz babce płacić łzami, mnie niewolą — my się zrzekamy wszystkiego.

Prezes osłupiał i słowa rzec z razu niemógł.

— A bardzo dobrze! a bardzo dobrze! zakrzytał wywracając krzesło, stół, filiżanki i wstając nagle — powiem to starościnie.

— Starościna wie o tem i zgadza się na to.

Niemożna odmalować złości, gniewu, wściekłości człowieka, który zwykły do despotycznej władzy nad tem, co go otaczało, ufny w swoje skarby sądził, że niemi panować będzie gdzie zechce.

— Zostaniecie przy Dąbrowej! zawołał, zostaniecie, ale ani mnie więcej, ani złamanego fenika mego nieujrzycie.

To powiedziawszy wyszedł do sieni, kazał podawać konie, wybił dwóch służących i trzęsąc się odjechał.

Chwila jedna zmieniła nagle całe położenie Julji i jej stanowisko na świecie. Miljony jej stopniały — rozżarty prezes przenosił swe panowanie, zapisy i dziwactwa do podkomorzynnej i Matyldy. W kilku dniach z pośpiechem gniew zagarnął wszystkie majątności starosty, i na jednej nie wielkiej wiosce i folwarczku pozostała babka i wnuczka. Pojęły obie, że życie ich zmienić się było powinno; ale Julja niedozwoliła, aby babka w najmniejszej rzeczy ucierpieć na tem miała i poczuć nawet odmianę. Sama zajęła się domem i szczęśliwa bo swobodna, otaczała ukochaną babkę tysiącem pieczyt i starań.

Po sąsiedztwie jak uderzenie gromu rozeszła się wieść dziwna, że prezes skasował testament, odebrał majątki starościnie i wszystko przekazał Matyldzie.

Matylda nagle kaszlać przestała, była i tak już pewna, że za mąż pójdzie, bo roje młodzieży obległy dom podkomorzynnej.

Wszyscy mężczyźni znajdowali, że panna Tysia wcale jest hoża, bardzo miła i ładna. Pokazało się nawet, że choć trochę utyla, ale była za to białą i rumianą, a oczy miała pełne wyrazu. — Wyrazem tym były krocie i miljony prezesa.

Czego nigdy nie bywało dawniej — Tysia poczyniała z fałszywym spiewem popisywać się publicznie, i godzili się na to znawcy, że choć bez metody i szkoły, śpiewa bardzo przyjemnie. Podkomorzyna roiała, była szczęśliwą.

Do ustronnej nawet Jarowiny, przez przybywającą tu teraz młodzież, doszła do Jana i ojca jego wiadomość o zubożeniu Julji. Oba uradowali się niezmiernie, a Jan pospieszył teraz natychmiast do domu starościnnej. Nie myśląc dalej kryć się ze swoją zamożnością, wybrał się jak najparadniej.

Cztery prześliczne konie rosłe ciągnęły lekkie saneczki, uprzęż na nich była angielska i przy angielskiej skromności piękna i smakowna; pokrywały grzbiety gniadoszów cztery skóry lamparcie. — Dwóch ludzi w jednostajnym czarnym ubraniu towarzyszyli Janowi.

Gdy zajeżdżał przed ganek, Julja widziała, ale nie domyśliła się zbałamucona końmi i uprzężą, ktoby mógł być taki.

Jan zastał ją z xiążką w ręku samą jedną.

— A, to pan, zawołała — zadziwiona — choć jeden nie zapominasz o nas?

— Dla czegoż mnie pani posądzasz nawet o to —?

— Bo — bo — bo drudzy —

— Ja nie należę do drugich.

— Wszędzie chcesz być pierwszym? zażartowała ze zwykłą swoją wesołością. —

— Tam gdzie być można pierwszym i ostatnim.

— Zagadka — nierozumiem zagadek.

— Jakże się ma starościna?

— Zdrowa, ale w zimie nie wychodzi prawie ze swojego pokoju.

— Mogę być u niej.

— Dla czegoż nie, będzie mu rada — chodźmy.

Zastali staruszkę nad książką i modlitwą, modliła się zwykle dzień cały.

Przywitała uprzejmie Darskiego, teraz każde odwiedziny ją cieszyły, bała się być opuszczoną biedna, i dzień bez gości był dla niej smutniejszy niż kiedy.

Jan począł żywo mówić o dawnych czasach, żeby w wspomnienia wprowadzić staruszkę i jakoś mu się to udało. — Rozdobruchała się, rozgadała, ale w końcu niemogąc zapomnieć straty świeżej majątku, którego nie dla siebie, ale dla wnuczki żal jej było, dodała z westchnieniem:

— Pan wiesz, że nam pozostała tylko jedna Dąbrowa.

— Wiem pani.

— I dziś prawieśmy ubodzy.

Julja przerwała wesoło:

— O co to, to nie! coż to mnie babunia za nic sobie liczy.

— Tyś to też mój skarb jedyny. —

— No, więc cicho babciu.

Jan się uśmiechnął tylko.

— A panu, życzę, dodała figlarnie Julja, spróbować szczęścia u podkomorzynej. Panna Matylda będzie miała jeden miljon na banku, Siwicze, Romejki, Bityn, Hlasne, Zawojówkę i Mateczne. — Nie licząc tego, co ma z siebie.

— To jest — kaszlu — dodał Jan.

Oboje rozśmieli się serdecznie.

— A co ja, to powiadam, że wyśmienicie być ubogim, zawołała Julja. Naprzód, choć to wszyscy wiedzą, ubóstwo jest próbą naszych przyjaciół, jest odstręceniem natrętów, jest naszej wartości wewnętrznej próbą także najlepszą. Tysiące nieocenionych korzyści

—
Marja nadeszła, a że starościna długo z gośćmi siedzieć nie była przywykła, panny i Jan wyszli do salonu.

Długo tu długo siedzieli, rozmawiali, grali i bawili się nawet trochę po dziecinnemu. Zakochani lubią być dziećmi.

Marja wcale nie była na zawadzie — ona po większej części jak konieczny tylko świadek siedziała w kątku z myślami swemi.

Dotąd między Julją a Janem miłość wzrastająca codziennie, widoczna dla oczu ludzkich, im obojgu wiadoma, nie wyszła jeszcze wyznaniem przez usta. Ale ten moment stanowczy zbliżał się. — Wypowiedzenie miłości jest początkiem drugiej w niej epoki, która ma właściwy sobie charakter. Pierwsza karmi się więcej ideałami i nadzieją, myśli dwóch istot blisko siebie, ale nie sprzężone jeszcze latają; w drugiej starają się zrównać, spoić, związać i idą w rokosznem uścisku ku dalekiemu jeszcze, ale już świtającemu szczęściu. Cóż, gdy to szczęście, ten cel jak wszystko najróżowiej się śmieje, dopóki niedoścignione, dalekie! —

Już zmierzchało, a kochankowie siedzieli jeszcze u stołu przy kanapie, trochę oddaleni od siebie, ale co chwila niewiedząc jakim przypadkiem zbliżając się powoli. — Jan opowiadał o swoich podróżach. Julja żartowała, ale w głosie jej słychać było wzruszenie i bojaźń poprzedzającą zawsze wielką życia chwilę.

Marja przebierała od niechcenia po klawiszach fortepianu, żeby rozmowy nie słyszeć, twarz jej blada na policzkach dwojgiem rumieńców gorączkowych zapaloną była.

— Podróż, mówił Jan do Julji — jak wszystko w życiu najroskoszniejsze, gdyśmy nie sami. Widzę, i myśli, które we mnie widok budzi, niemam z kim podzielić, serce mi bije, a niemam czyjej dłoni położyć na niem z pytaniem — a twoje? Często największe rokoszne wzruszenie kończy się smutkiem i myślą bolesną — Czemużem sam jeden! Lecz jak w podróży, nietakże w życiu całym?

— Może, cicho odpowiedziała Julja — ale jak często dwoje ludzi, z których jeden ciągnie drugiego przeciw woli, podobni są tym psom gończym, których kiedyś widziałam w dziedzińcu na sforze —

— W ówczas gdy ręka obca ich zwiąże, — lecz jeśli sami dobrowolnie się znajdują, zbliżą, powiążą? Nie sfora, ale serce łączyć ich powinno!

— A na długoż wiąże serce?

— Czasem — na zawsze.

— Tak, ale to tylko — czasem. I możnaż kiedy być pewnym, że to co obiecuje być *zawsze*, nie potrwa nad chwilę?

Jan zamilkł.

— Co do mnie, mówiła Julja bawiąc się xiążką, którą wzięła machinalnie — tam gdzieby chodziło o moja przyszłość całą, byłabym trudną, bardzo trudną, chciałabym upewnić się, obwarować, żeby jej nie stracić; chciałabym nie rzucić jej na pastwę losowi.....

— Nie wierzę pani — rzekł Jan — przyszłości nie oddałabyś pani bez uczucia, a uczucie nigdy tak nie rachuje i nie rozumuje.

— Mylisz się pan, gwałtowne uczucie ma swój właściwy rachunek; one się lęka zdrady i bojaźliwe zewsząd od niej zastrzega.

— Uczucie wielkie nie przypuszcza jej — samo będąc gwałtowne, w swoim świetle, w swojej barwie widzi wszystko, poświęca się i łatwowierność jest dowodem może jego potęgi.

— O! nie! nie. Na to nie pozwalam — odpowiedziała Julja — to byłby już szal, a szal jest chwilowy tylko. — Uczucie wieczne musi budować się na — wieczność. — Czyni to instynktowo, rozumem serca.

Jan wziął powoli rękę Julji, która mu jej nie broniła — serca ich uderzyły od magnetycznego związku.

— O! nie, nie, rzekł cicho — pani nie potrafiłabyś być tak srogą, tak ciężką dla tego, coby ci życie poświęcił. —

— Dla siebie i dla niego, musiałabym, odparła Julja...

— Co za niewiara!

— Dla czegoż tyle zawodów na świecie?

Drzenie ich głosu, cichsze wyrazy, zbliżenie ku sobie i ściśnięcie sobie dłoni długie, mówiące jak myśl — przerwało na chwilę rozmowę, której słów dosłyszeć niemógł nikt, prócz nich samych...

— Juljo — ja cię kocham! głośniej trochę i z uczuciem wyrzekł nareście Jan.

— Wiem o tem — odpowiedziała — wiem o tem — i — nie będę panu — tobie — nie będę ukrywać — na cóż kłamać? — ja kocham cię także. —

Jan pomimo przytomności Marji zapomniawszy się padł na kolana. —

— Na Boga! co robisz... wstań. —

Jan usiadł znowu. —

— A! takie szczęście to nad siły ludzkie — oszaleję! zawołał. Ty mnie kochasz i pozwalasz mieć nadzieję, że będziesz moją, moją na zawsze.

— Słuchaj — słuchaj — nigdy w życiu nie kochałam nawet myślą, nawet wyobraźnią, które zawcześniej w kobiecie się budzą. Raz mogę kochać, ale na zawsze. — I chcę żeby miłość moja była życiem całym, żeby ten kogo wybieram, był mój, mój, mój tylko — żeby go była pewna jak siebie, żeby nic nas rozłączyć nie mogło

— Wątpisz o mnie!

— Kocham i lękam się.

— Juljo, ty niewiesz co w sercu tem się dzieje.

— Dzisiaj — lecz jutro?

— Jestże jakie jutro!

— A! gdyby życie mogło być jednym wielkim dniem bez jutra — wiecznością bez zmiany. Lecz wszystko się zmienia, jakąż przysięga, jakie zaklęcie może odegnać moją bojaźń?

— Ty mi niewierzysz! powtórzył Jan.

— Ja kocham cię! powtórzyła Julja, której rękę całował Jan z zapalem — o wierz mi kocham pierwszy raz — i ostatni.

— Lecz jakże przekonam cię, że jestem twój, i twój tylko na zawsze?

— Posłuszeństwem bez granic.

— Juljo! — możeż że wątpić o tem?

— Chcę być pewna ciebie.

— A nie jesteś?

— Nie — kobieta — boję się — boję — serce mi się ściska, gdy myślę o przyszłości.

— Cóż mogę na to poradzić?
 — Zamknąć oczy i ślepo spełnić co powiem.
 — O! mój Boże, ona mi nie wierzy! z boleścią zawołał Jan, lecz jakiegoż chcesz dowodu — jakiej pewności? wszystko zrobię.
 — Pojedziesz na rok cały i nie będziemy się widzieli.
 — Juljo — rok cały, to wieczność — rok młodości, to skarb bez ceny — rok życia stracony, gdy szczęście przed nami.
 — Lepiej rok stracić niż życie! zawołała żywo... Nigdy już nie mogę być szczęśliwą chyba z tobą, lecz nad nieszczęście we dwoje, wołam samotną śmierć powolną. Dla tego nim będę twoją, chcę wiedzieć, żeś mój na zawsze. Tak — jeszcze rok próby, — i to nie ostatnia.
 — Jakto? jeszcze ci dosyć nie będzie.
 — Dosyć — nie! nie dosyć!
 Jan upadł na krzesło. — Rok cały! powtarzał.
 — Rok, ale na ten rok daję ci pokarm Janie, odpowiedziała śmiało Julja. — Jeśli jedno uczucie, jedna myśl cię wyżywi — wrócisz i —
 — I pozwolisz mi naówczas?
 — Naówczas zobaczę.
 — Juljo — na cóż mi powiedziałaś to zwodnicze słowo — Kocham!
 — Ja tak Kocham!
 — Każesz, będę posłuszny, ale co wycierpię. —
 — Wszystko się płaci cierpieniem — a jaż cierpieć nie będę?
 — Niepojęta!
 — Niecierpliwy!
 — I kiedyż ten nieszczęśliwy rok mu się rozpocząć?
 — Od jutra!
 — Zlituj się, — od jutra! jakto, jutro miałbym porzucić cię i niewiedzieć znowu. Po dzisiejszym dniu, który jest najszczęśliwszym mego życia.
 Julja zamilkła..... Jan ręką gorące chłodził czoło.
 Cały, długi wieczór upłynął na podobnej rozmowie, teraz najrozkoszniejszej, bo rozkutej z tych form, które ją przed chwilą ścieśniały. — Raz powiedziawszy *Kocham*, stali się jak brat i siostra, nie mieli tajemnic, nie potrzebowali myśli swej osłaniać i mówić dwuznacznikami. Julja z gwałtownością sobie właściwą, którą nie jednej kobiecie za złeby wziął mniej zakochany a małego umysłu człowiek, nie tała ani przywiązania swego, ani myśli, nie drożyła się z wypowiedzeniem tego co czuła, nie cedziła z niepewnością i bojaźnią tego, co rzeką wezbraną łało się z jej serca. Jan był w uniesieniu.
 A Marja? — Marja siedziała przy fortepianie, niekiedy jej oczy podniosły się na parę szczęśliwą, i znów opadły ku ziemi. Ona słyszała wszystko, a więcej domyślała się... serce się jej ścisnęło, oddech tamował, a przy wielkiej boleści, była i rozkosz tajemna, niepojęta w tym cierpieniu, o którym nikt niewiedziały, nikt się go nie domyślał, którego uleczyć nic nie mogło, chyba — śmierć.
 W zapale opowiadania Julja wyznała Janowi, z kąd poszedł pierwszy gniew prezesa i zupełne z nim i nadzieją zapisów jego rozstanie. To było powodem wyznania Darskiemu, że nie potrzebowali majątku, którego on miał dosyć. Julja chmurna odskoczyła od niego.
 — Jesteś więc bogaty? spytała:
 — Dość dla nas obojga —
 — Czemuż o tem niewiedziały dotąd?
 — Nikt mnie nie pytał? Chcesz próby, oto już pierwsza próba — pokochałem cię panią, Kocham cię dziś więcej jeszcze — jeśli to być może.
 — O to, to żadna próba! odparła dziewczyna. — Jesteś bogaty, możesz się obejść bez moich pieniędzy. — A ja — dodała — ja wolałabym cię ubogim. — Często — wielkie uczucie miłości rozbija się o mizerną rachubę powszedniego chleba...
 — Ale nie takie jak moje.
 — Swojego nieznasz...
 — Juljo, Juljo! tak młoda, a już tak niedowierzająca! — Godziż się to?
 — Wszystko się godzi dla spełnienia ideału mojego. — Moim ideałem szczęście nasze — ale nie szczęście chwili — co się budzi rozczarowaniem! nie! ja takiego nie chcę.

Jan nic nieodpowiedział, była niepokonaną.

Późno już było, gdy pożegnał Julię i Marję, starościny widzieć już nie mógł. Julja podała mu rękę i z uczuciem rzekła: — A więc na rok cały się żegnamy, rok próby, — po roku czekam cię. Janie, tu w naszej cichej Dąbrowie, zastaniesz mnie, jaką porzucasz dzisiaj, zawsze ci wierną, i na zawsze twoją.

Jan nie znalazł na ustach, ani w sercu odpowiedzi, rok ten przestraszał go jak nieprzeżyta wieczność. — Ona go kochała i odpychała od siebie —!

Pojechał.

A gdy Marja sam na sam została z Julją, gdy szczebiotliwe dziecko pragnąc podwoić swoje uczucie, dzielić się niem poczęło z przyjaciółką, z westchnieniem rzekła jej Marja

— Na co te próby, Juljo kochana? serce ci mówić powinno czy on cię kocha — stawisz na kartę całe życie swoje. — Ja nie miałabym siły, — wolałabym później nieszczęście, niż dziś tak chłodną krwią zadawane męczeństwo. — Ciebie i jego, żal mi was obojga!

Jan niemogąc przesiedzieć tego roku daleko od Julji, pozostał u ojca. Zdawało mu się, że bliżej jej będąc, łatwiej wytrzyma rok próby. Siedział smutny, chory w Jarowinie, błakał się po otaczających lasach, lecz posłuszny woli Julji, nigdy nawet nie poszedł odwiedzić ławki pod dębami, chyba nocą. Nieraz widział z daleka powóz, którym jechała Julja, nieraz mignęła mu się biała jej suknia, a ludzie oplaceni donosili mu z najdrobniejszymi szczegółami co się działo w Dąbrowie.

Julja myślała, że był w Litwie.

Tym czasem prezes, przy swoim sknerstwie dziwaczny, przeniosłszy panowanie do domu podkomorzynnej, nie bardzo był rad nowej swojej dziedzicze, której widocznie nie lubił. Ciągłe wymagania pomocy pieniężnych robione w różny sposób przez podkomorzynę, niecierpliwiły go i gniewały. Łajał podkomorzynę, bił jej służących, a Matyldzie, której sentymentalnych tonów niecierpiał, dogryzał najbardziej. Wszystko w niej mu się niepodobało. Pewny, że go tu nie pożegnają rzeczeniem się jego fortuny, jak w Dąbrowie, pozwalał sobie co mu na myśl przyszło. W ostatku ulubionego bardzo pannie Matyldzie młodego, pięknego i wcale do rzeczy, ale zupełnie ubogiego starającego się — odpędził bez żadnej innej przyczyny nad to, że był ubogi.

Napróżno starano się go uprosić, pokonać, wymodlić pozwolenie, prezes im bardziej nagłony, upierał się coraz mocniej. Trzeba było wypowiedzieć dom panu Tadeuszowi, a na jego miejscu sam prezes wprowadził ślepego wprawdzie na jedno oko i głupiego w najoryginalniejszy sposób, ale bogatego pana Safetycza.

Safetycz był głupcem rozumnym — niezmiernie wiele zjadł książek, bardzo dobrą miał pamięć, ale to było najograniczeńsze w świecie stworzenie. Świata, ludzi, siebie nie rozumiał, wszyscy sztydził z niego, on wszystko brał za dobrą monetę. Naprowadzony na uczoną materję, sywał jak z rękawa wiadomości połamane, poduszone, które w jego mózgowicy jak w magazynie ciemnym i wilgotnym, upakowane leżały. Starając się o Matyldę, cytował wszystko co czytał o miłości, czując tego potrzebę, i najnaiwniej w świecie przyznawał się, że wielu rzeczy zrozumieć nigdy niemógł. Tysia bała się go jak ognia, gdyż ją przygniatał swoją erudycją, podkomorzyna ziewała na samo wejście na Safetycza, jeden prezes silnie sprawę jego popierał. Prawda że był bogaty i skąpy.

W sąsiedztwie nikt cierpieć go niemógł; nie było bowiem dokuczliwszego sąsiada, nudniejszego gościa, nieubłagańszego procesowicza. Wszystko robił z flegmą, z krwią chłodną, powoli, regularnie, ale z zabójczą nieczulością maszyny. Przemówić do uczucia jego było niepodobna, bo go niemiał i niepojmował w drugich.

Matylda płakała, podkomorzyna pocieszała ją jak mogła i znosiła, prezes naglił.

Safetycz się nareście cytując mnóstwo pięknych rzeczy, oświadczył matce i pannie. Matka odesłała go do panny, panna odesłała do matki. Ale gdy przyszło dać stanowcze

słowo, a prezes stukał kijem wymagając końca, Tysia na prawdę zachorowała, schudła i rzuciwszy się do nóg matce, powiedziała: że umrze, jeśli ją za Safetycza wydadzą.

Burza się zbierała. — Prezes poczynił żółknąć i gniewać się. Safetycz cytował różne wypadki miłosne ze starych romansów. Podkomorzyna desperowała, Tysia była nieubłagana. Młody jej ubogi pretendent tajemnie listami podsycił opór i dolewał oliwy do ognia. —

Zwlekano od dnia do dnia, od tygodnia do tygodnia i końca nie było.

Tym czasem prezes, który z oka nie tracił Dąbrowej, dla samego gniewu swego na starościny i jej wnuczkę, śledząc co się tam dzieje, odebrał pewną wiadomość, że Darski, który się ledwie był tam pokazał, od roku nie był.

— A więc odpawiony z kwitkiem! rzekł w duchu i namyślając się głęboko.

Wtem jednego rana ekonom z folwarku Bityna wpadł z wiadomością do prezesa, że w nocy panna Tysia zniknęła — Pan Tadeusz ją wykradł.

Prezes kazał zaprzęgać konie, stukał, bił, łajał, piechoto poszedł niedoczekawszy się bryczki i przybywszy do podkomorzynnej, którą we łzach zastał, począł od najdzikszych wyrzutów, które serce matki krwawiły. Podkomorzyna, która po macierzyńsku kochała córkę, bolała nad jej stratą, i w usposobieniu w jakim była, z zimną krwią słuchać nie mogła łajań prezesa, rzuciła mu w oczy wyrzeczeniem się wszystkiego, co im obiecywał.

— Nie chcemy nic! zostaw nas pan spokojnych! I rozplakała się i rozchorowała się na serce. Prezes odjechał w najsroźszym gniewie; i tak zerwały się stosunki jego z podkomorzyną, upadła nadzieja wielkich bogactw, a pan Tadeusz został przy posiadaniu Tysi, która całkiem wyzdrowiała. Państwo młodzi przenieśli się do matki, gdyż pan młody nie miał tylko małą dzierzawę, która mu się kończyła.

Całe sąsiedztwo przeczuwać zaczynało, że prędzej później prezes zwróci się znów do Dąbrowej. Niewiedział co z sobą począć, a niemając gdzie panować, nudził się aż do choroby. — Łajając i odgrażając się zaczynał już pożyczać zboża i różnych rzeczy żądać w Dąbrowie, co było u niego znakiem najwyższej łaski. Starościna nie odmawiała niczego. Sknera brał i nieoddawał, rządził się, łajał, ale coraz bliżej krążył około Dąbrowej, do której jednak zjechać jeszcze nie śmiał. Nareszcie raniuteńko na ś. Annę, w dzień imienin staruszki, gdy jeszcze nikogo z gości nie było, pokazał się na ganku. Przyjęto go jak krewnego, jak znajomego, jak gościa. Trochę był tego dnia mniej żółty i udawał wesołego, ofiarował starościny na wiązanie pudeleczek z kory brzoźowej, Julję powitał po dawnemu i zainstalował się znowu, jakby nigdy nic nie zaszło między nim a tym domem.

Po sąsiedztwie gruchnęła wieść znowu, że prezes pojednał się ze starościny, że Julji wracają nadzieje ogromnych jego zapisów. Matylda, której sto tysięcy po najdłuższym życiu swoim, trochę przejednany rzucił prezes prawie ze wzdardą, nic już się po nim spodziewać nie mogła; bliższych krewnych nie miał.

Bogata panna na wydaniu!! — wołali wszyscy na mil kilkanaście do koła. — Co było gołych paniczów, zadłużonych ojców, matek troskliwych i krewnych ubogich, wszystko to młodą armję pretendentów wysyłało znowu do Dąbrowej. — Nie będziemy wam opisywali gromady starających się, która Julję obłąkała, a w której niepoślednią też rolę z własnego instynktu grał Safetycz. Prezes już go tu prowadzić nie śmiał — dla Julji, mówił, trzeba coś pokorniejszego. Julja zaś znajdując rozrywkę w głupstwie uczonego Safetycza, najlepiej go ze wszystkich przyjmowała. Śmiała się z niego, a on był najpewniejszy, że go kocha i cytował już nawet Anakreonta.

Między starającymi się odznaczał xiążę W — któremu imię Henryka (był VI. Henrykiem w familji) nadano na chrzcie, jako przyszłej głowie rodziny.

Pomimo wad, które szczepi pospolicie w sercu i umyśle panów i paniczów niedorzeczne wychowanie, co od dzieciństwa wskazuje im, że są czemś wyższem nad lud pospolity i do szczególnych losów stworzonym, Henryk był wcale przyzwoitym młodzieńcem, mogącym bardzo podobać się kobiecie. Wady jego leżały na dnie ukryte starannie, nie była pora popisywać się z niemi — udawał więc człowieka popularnego prawie, brał się z młodzieżą chętnie, nie nastawiał tytułem i nie pluł herbami. Młodzież, która niesłychanie ceni przystęp do j. oświeconych, gdy ci nie kásają tylko, otoczyła go z zapalem przekonawszy się, że nawet głaszczce. Henryk był bożyszczem młodzieży i powszechnie uważanym za okrasę towarzystw. Dowcipny (rodem kury czubate), zręczny, dobrze uło-

żony, dość czytany na tych książkach, w których potrosze wszystkiego nauczyć się można, doskonały strzelec, wyborny tancerz, gracz z krwią chłodną, do kielicha gotów choć o północy, przy kobietach przyzwoicie śmiały, koniarz jak berdyczowscy żydzi, birbant między birbantami, poważny ze starymi, polityk nawet, gdy było potrzeba. — Xiążę nie na jednej grał strunie jak widzimy. Przytem twarzyczkę miał, której bródka jasna wiele dodawała wdzięku, oczy niebieskie melancholiczne, rękę kobiecej piękności, zęby jak z kości słoniowej. Niebogaty, nie był też ubogim, ale jadły go żydowskie i nie żydowskie długie, ten trąd naszych prowincyj. Potrzebował się koniecznie bogato ożenić. Dom jego na pańskiej stopie utrzymywał się kredytem cały, ale niemniej wspaniale.

Już widzicie jak przywieziono xięcia Henryka do Dąbrowej, jak Julja obojętnem zmierzyla go okiem, jak po kilkogodzinnej rozmowie niemogła niewyznać, że to był bardzo przyzwoity młody człowiek. — *Un jeune homme tres comme il faut.*

Staroście w najwyższym stopniu pochlebił tytuł xiążęcy!

Prezes żartując z golizny jasnie oświeconych, poszłej już w przysłowie, bo w tamtej okolicy mawiano czasem: — Goły jak xiążę; — prezes nie zupełnie był wolny od próżności. — I jemu pochlebiali to xięstwo, z którego żartował.

Julja na podziw Marji, babce i wielu innym, zwykle bardzo zimno i odstręczająco przyjmując i odprawiając przybywających, tego bardzo grzecznie, prawie pociągającym sposobem przyjęła, i xiążę począł bywać dość często w Dąbrowie. Julja traktowała go żartobliwie, grzecznie, ale nie odbierając mu wcale nadziei. Wprawdzie nie pozwalała mu bardzo się zbliżyć do siebie, unikała dwuznacznych wyznań, nie chciała rozumieć półsłów, ale to wyglądało raczej jako zwłoka niż jako odprawa.

A gdy Marja pytała jej z podziwieniem, dla czego xięcia pana trzyma na uwięzi? Julja, która myśl jakąś miała i rachunek, odpowiadała jej: — Zobaczysz — ja nic nie robię bez celu.

— Lecz na cóż go uwodzisz?

— Ja? jego? — jestem z nim jak ze wszystkimi — odprawić go nie mogę, bo niewiem nawet czy myśli o mnie; pociągać go nie myślę.

A rok naznaczony powoli upływał. Julja była pewną, że Jan ukrywający się w Jarowinie, mieszkał w Litwie. Stary Darski, który o wszystkim wiedział, wzruszał ramionami, nie bardzo narzekając na zwłokę.

— Wszystko u was teraz po szalonemu, mówił do syna — miłości wasze i nienawiści niepojęte, dziwaczne. Którażby to dawniej kobieta pomyślała wystawić człowieka na taką próbę osobliwą? któryżby z nas dawniej poddał się takiemu rozkazowi! Dziś mosanie, takeście niedowierający, że młodzi, w wieku zaufania i wiary nawet, boicie się jedni drugich. A zresztą może to i lepiej! Bóg z wami. I mnie się też upiekło przytem, że Jan cały rok przy mnie bawi.

Nadeszła zima i dzień naznaczony.

W Dąbrowie było mnóstwo gości, a xiążę Henryk najjaśniejszą między nimi gwiazdą.

Julja tego dnia weselsza niż zawsze, dla niego zdawała się być grzeczniejszą. — Każde jej najzimniejsze nawet wejrzenie mogło zawrócić głowę, cóż gdy starała mu się nadać wyraz i uczynić je czarownem? xiążę Henryk nieodstępował jej — i jemu wytrawnemu, zużytemu prawie mąciło się w głowie. Gdyby był w stanie, byłby się zakochał, lecz uczynił co mógł — zadurzył się. W sercu za młodu miłostkami powszedniemi skalanem nie mogła już urodzić się miłość, ale gwałtowne, namiętne i zwierżące pragnienie.

Julja siedziała z nim na kanapie, sam na sam w dowcipnej rozmowie, w której oboje celowali. Reszta gości u stolików z kartami, u fortepianu, przy krześle starościny, koło kanapy panien rozprószona była, Jan wszedł o zwykłej godzinie i zastał — serce mu się ścisnęło, Julję tak zajętą xięciem Henrykiem — że go zdawała się niewidzieć. — Gdy ją przywitał, skinęła głową obojętnie, a choć ją wiele to kosztowało, nie wstała z kanapy, nie przemówiła słowa — śmiała się i dowcipkowała. —

Niepokazał po sobie Darski, jaką uczuł boleść, twarz jego tylko zwykle wypogodzona, zbladła, oddech stał się ciężki i siadł na pierwszym wolnym krześle.

Zdaleka wejrzeniem mierzyła go nieubłagana. Julja czytała co cierpiał, darła jej się dusza, lecz chłodny jakiś rachunek kazał jej dla podbudzenia miłości Jana, rozniecić w nim zazdrość. Niepotrzeba jej było, bo Jan kochał tak jak dziś niewielu kochać potrafi, całą dziewiczą siłą nieużytego serca i niepokalanych zmysłów. Obojętność Julji, z której

ochłonać potrzebował, oswoić się z nią, bo jej się niespodziewał wcale, uderzała go jak pioron. Myśli błąkały mu się po głowie bezkształtne dziwne, rozpaczliwe.

A Julja śmiała się z xięciem, z figur widzianych na ostatnim wieczorze, głos jej czysty, wesoły na pozór, dochodził uszu kochanka, serca, i brzmiał w nich jak trzask walącego się gmachu.

Byłażby to znowu próba? spytał się w duszy Jan.

A! daj Boże — inaczej ja bym tego nie przeżył — i ona! — Zabił bym ją — zabił bym ją! powtarzał drąc rękawiczki i szarpiąc suknie na sobie. — I zabić za mało! zemścić bym się! o! zemścił okropnie.

Jan szalał, gdy głos Marji, która czuła się w obowiązku bawić opuszczonego gościa, głos Marji, którego od razu nieposłyszała, odezwał się blisko:

— Nie byłeś pan chory? jesteś tak zmieniony?

— Nie byłem, lecz będę — czuję to. —

— Cóż to panu?

— Potrzebaż mówić!

Marja udała, że niezrozumiała...

— Jakąż pan miałeś podróż? spytała odwracając rozmowę. —

— Podróż? ja żadnej nieodbyłem podróży?

— Gdzieżeś pan był?

— Daruje mi pani — dostałem zawrotu głowy, jestem jak nieprzytomny, muszę wyjść się ochłodzić.

Jakoż porwał się z kszesła, a Julja, która widziała wszystko, tak zręcznie wstała z kanapy i podeszła ku drzwiom, że go schwyciła na drodze.

Spojrzeli na siebie, lecz Jan nic nie przemówił, zbyt wiele otaczało ich osób, a ukryć co czuł niemógł.

— Janie! cicho szepnęła Julja, a głośniejszy — o! jakieśmy się dawno nie widzieli. — I obłąkanego śmiejąc się, aby pokryć co czuła, poprowadziła ku oknom. Tu z miną naj-obojętniejszą przemówiła do niego tak, aby nikt po twarzach ich poznać nie mógł, co mówili.

— Co panu jest?

— Panu? Juljo! i ty mnie pytasz o to? po takim przywitaniu! po takiej boleści!

— A! daruj.

— Jeszcze chwila tej męczarni —

— I cóżby było? drżącym głosem spytała go Julja.

— Byłbym cię zabił! stłumionym ponurym tonem odezwał się Jan.

Julji twarz rozjaśniła się.

— Daruj ukochany — o! daruj, to była próba.

— Jeszcze jedna taka, odpowiedział Jan, a zginiemy oboje — a więcej nie zobaczysz mnie Juljo. Rób ze mną co ci się podoba, ale szydzić z uczucia, którego znasz gwałtowność, które mówisz że podzielasz, bo dziś zwątpiłem o tem — o! nie próbuj.

Namiętność, z jaką to wyrzekł Jan, była najlepszym dowodem dla Julji, że rok niedwidzenia nie tylko nie zmienił miłości Jana, ale ją podniósł jeszcze. Była szczęśliwą!

— Kiedy wróciłeś z Litwy? spytała —

— Z Litwy! ja tam niebyłem od roku.

— Gdzieżeś był?

— Tu, w Jarowinie.

— Tu — o miłą od Dąbrowej! rok cały! tu!

— Tak tu! bliżej ciebie Juljo! I za to cierpienie Tentala, taką otrzymałem zapłatę.

— Janie, jam twoja, ukarż mnie jak zechcesz — przepraszam cię — o! daruj mi.

— Nie! nie! nie tak łatwo zagoić tę ranę, czuję ją jak zimne żelazo w sercu.

— Wszystko skończone. —

— O! nie dla mnie — ja jeszcze cierpię.

— Mógłżeś wziąć mnie za zalotnicę, za niewierną i płochę dziecko?

— Nie myślałem, nie rozumiałem, cierpiałem tylko.

Julja ścisnęła tajemnie rękę Jana, lecz zbliżał się xiążę, trzeba było zmienić rozmowę i uczynić ją obojętną.

— Pani będzie łaskawa poznać mnie z panem Darskim? rzekł xiążę.

— Xiążę Henryk W — p. Darski. —

I Julja zostawując ich samych, wymknęła się. Xiążę nadto był wielkim znawcą ludzi, których wielu przerzucił przez siebie, żeby nie poznał, że między Darskim a Julją jest tajemniczy jakiś związek. W początku obojętność zbyteczna, potem rozmowa tajemna, wiele mu myśli nagnały do głowy.

— Miałbym, rzekł w duszy, zostać mężem tylko, a tamten czemś więcej?

Postanowił śledzić, ale tego wieczora nic więcej nie wyszedł, Julja była zręczna i panią już siebie.

Na odjeździe szepnęła tylko Janowi —

— Jutro rano! ale tego nikt nie dosłyszał i z daleka wziąć było można za proste — Dobranoc.

Nazajutrz Jan o dziesiątej przyjechał do Dąbrowej. Julja całkiem była inną, a chmurę widząc wiszącą jeszcze nad czołem Darskiego, starała się ją rozpędzić słowy, uściskiem ręki i temi tysiącami pieszczoty dozwolonemi, co są niczem dla obojętnych, szczęściem dla kochanków. Dotknąć ręki, zbliżyć się do niej, uczuć jej oddech, zyskać jedno ze spojrzeń jakie się nikomu nie dają, schować na sercu rękawiczkę, którą miała na dłoni, jakże to wiele dla jednych, jakże to drugim obojętne.

Ranek to był bez chmurki, roszkowny, jasny, szczęśliwy. — I Julja pożegnała go znowu — pozwoleniem przybycia. — Jutro rano. —

— Więc koniec tym probom nieszczęsnym, co mnie zabijają, spytał jej Jan po długiej, długiej rozmowie.

— Nie — odpowiedziała Julja.

— Juljo — chcesz mnie zabić? —

— Janie, wszystko się nagrodzi! ty mnie nie kochasz, jeśli o tem wątpisz, nie kochasz mnie, jeśli ci cięży ofiara dla mnie.

— Juljo! ty mnie nie znasz!

— Janie! jeszcze chwilka, a będę twoją i — na zawsze, będę ci posłuszną, będę ci laty całami nagradzać, coś dla biednej dziwaczki uczynił.

— Rób ze mną co zechcesz.

— Pojedziesz do Litwy, odpowiedziała po namyśle.

— Na długo?

— Jak ci się podoba, to już nie chodzi o czas. Tyś bogaty, ja cię bogatym nie chcę.

— Cóż mam zrobić?

— Połowę majątku oddasz ubogim krewnym.

— Niemam ich.

— Komu zechcesz, lecz oddasz połowę majątku.

— O! to mnie najmniej kosztować będzie.

— Przywiesz mi dowód, żeś tak zrobił jak chciałam.

— Dobrze, za kilka tygodni mogę być z powrotem, zrobić majątek ciężko, ale rozdać go najłatwiej. Oddam ziemię najuboższym z ubogich, tym co ją od wieków uprawiali, wieśniakom. Jestem ci wdzięczny za podanie tej myśli i cieszę się nią.

Julja spojrzała mu w oczy, podała rękę i pierwszy raz na jego ramie schyliła głowę, ła jakaś nieproszona zalsniła się w jej oku, ale znikła.

Weszła Marja, Jan musiał Julję pożegnać, i spieszno mu też było dopełnić to, co miał prawo, za ostatnią już próbę uważać.

Nazajutrz leciał do Litwy.

W miesiąc powracał do Jarowinej i stawiał się Julji, składając dowody, że spełnił co mu kazała.

Teraz już próba ostatnia — rzekła Julja — po niej jesteśmy na zawsze razem i — szczęśliwi.

— Jakto? jeszcze próba? jeszcze niewiara? Juljo — gdybym cię tak nie kochał, nie mógłbym wręcić uczuć się obrażonym nieufnością?

— Lecz właśnie dla tego, że mnie kochasz, spełnisz jeszcze jedną, tylko jedną prośbę moją.

— Spełnię wszystko dla ciebie, lecz nielepiej żeby od razu kazać mi się powiesić lub utopić.

— Janie — gorzko mi wyrzucasz moją miłość.

— Juljo — ty w moją niechcesz i niechcesz uwierzyć, to smutno!

— Mój drogi — jeszcze jedno, jedno tylko! Ja jutro na sześć miesięcy wyjeżdżam do Warszawy z podkomorzyną, która niema co robić u siebie, bo jej zięć powoli się chce pozbyć. Ty pozostaniesz tutaj, i co dzień będziesz w Dąbrowie, i codzień najmniej godzinę przepędzisz z Marją.

— Z Marją? zawołał Jan, którego niewiedząc dla czego zmieształ się.

— Tak, Marja jest aniołem, piękna, dobra, łagodna, skromna, ale pod tą szatą ukrywająca myśli więcej niż pospolite mają kobiety — Marja będzie próbą ostatnią.

— Lecz godziź się —

— Zarozumiała! myślisz że się w tobie zakocha? o! znam ją nadto! nie łatwo miłość wnijdzie w to serce, które już biło dla kogoś i zranione zostało.

— Do czegoż to ma służyć?

— Do wypróbowania twojej stałości — jeśli Marja nieodbierze mi serca twego, będę o nie spokojna. Najniebezpieczniejsza dla kochanki jest kobieta całkiem do niej niepodobna, całkiem od niej różna. Marja i ja jesteśmy dwoma biegunami przeciwnymi kobiecego świata. — Chcę żebyś ją poznał, zbliżył się do niej, żebyś wytrzymał zimny, nieporuszony, stały najstraszniejszą może z prób, na które cię narażam.

Jan nic nieodpowiedział, ale chmury przepłynęły po oczach jego i czole.

— Marja na to nie zezwoli, rzekł.

— Ja sama namówię ją na to.

— Lecz ludzie?

— Cóż ludzie powiedzieć mogą?

— Mogą rzucić potwarz na nią. —

— Nie lękaj się. — Nikt tu bywać nie będzie, nikt nie postrzeże — ja wszystko obmyśliłam.

— Godziź się tak żartować z jej sercem, drażnić uczucia?

— Spodziewam się, że ani jej serca, ani uczuć nie dotkniesz. Możecie sobie być najzimniej, najobojętniej, najchłodniej, bylebyście codzień się widywali, a na te dzienne odwiedziny najmniej naznaczam godzinę. Będziecie mogli mówić — o mnie naprzykład? — A jeśli w końcu zaczniecie mówić — o sobie —

I cichym głosem dodała,

— Ja ustąpię wam z drogi.

Niepodobna było przekonać Julję i uprosić ją, aby tę dziwną próbę, w której narażała na najprzykrzejsze położenie przyjaciółkę i kochanka — odstąpić chciała. — Jan błagał ją — napróżno; odjechać musiał przyrzekając, że spełni rozkaz.

Lecz Marja o niczem niewiedziała jeszcze. Wieczorem dopiero, gdy obie w pokoiku Julji siadły u komina, długo niewiedząc jak do tego przystąpić, Julja przysiadła u kolan Marji na dywanie i najpięszczołliwym głosem, najpokorniej odezwała się:

— Marjo, ty wiesz, że ja jutro jadę, ale nie wiesz ani dla czego, ani o co mam cię prosić. — Myślisz z innemi, że wyprawę robić sobie będę w Warszawie, gdy ja niewiem jeszcze, dotąd niewiem, czy mi wyprawa potrzebna.

— Jaktó? niewierzyłabyś jeszcze w przywiązanie Jana.

— Wierzę, że mnie dziś kocha, ale czy ta miłość oprze się czasowi, ludziom — i niestety kobietom innym —

— Dziwnie go posądzasz?

— Dziwnie też przyszłości się boję.

— Mój Boże! gdy komu ściele się szczęście, on dziwaczy.

— Łaj mnie jeśli chcesz i jak chcesz, lecz zrób o co cię prosić będę. Wiem że o nic złego prosić cię nie mogę, przysięgnij mi, że zrobisz to czego żądam po tobie jako dowodu przyjaźni.

— Na cóż przysięga? jeśli mogę.

— Możesz i powinnaś, a wiem że opierać się będziesz, że tysiąc znajdziesz przyczyn do odmówienia mi.

— Mów Julko — ufam tobie, że nie zechcesz nic, czego bym nie miała zrobić? — Ja cię tak kocham.

— Otoż to będzie dowodem twojej przyjaźni.

— Jeśli potrafię, zrobię.

— Przysięgasz mi?

— Przysięgam ci!

— Słuchaj. Ostatnią próbą postanowiłam doświadczyć Jana — któż wie czy silniejsza miłość nie grozi mi w przyszłości. Chcę spróbować stałości jego. Dał mi słowo, że przez pół roku niebytności mojej, co dzień będzie tu bywał i po godzinie zostawał z tobą. — Jeśli się nie zakocha —

Julja dokończyć nie mogła, bo Marja blada, drżąca, schwyciła się z krzesła i cofnęła na środek pokoju tak przerażona, tak zdumiona, że słowa przemówić nie potrafiła.

— I mnie rzucasz na pastwę! zawołała łkając.

— Marjo! droga Marjo! co mówisz. —

— I chciałabyś, żebym cierpiała —

— Dla czegoż miałabyś cierpieć?

— Dla czego!! Marja spuściła ręce i dopiero postrzegła, że się tłumaczyć nie mogła, zarumieniła się, — tajemnica tylko co jej ust nie przeszła, zwróciła ją do serca.

— Odmawiasz mi —?

— Juljo! pomiarkuj, czego ty żądasz! Godziź się to, jego tak dręczyć?

— Spodziewam się, że udręczeniem być nie może dla niego towarzystwo Marji, nawet dla tego kto kocha inną. Będziecie mówili — o mnie, liczyli dnie — czytali — milczeli — co chcecie, ale widywać się będziecie.

— Ja nie wyjdę do niego.

— Zrobisz to dla mnie.

— Juljo, ja tego zrobić nie mogę — to nadto, nad siły moje!

— Jakto? bałażbyś się —

Marja znowu się zapłoniła. — Ale to nieprzyzwoite — będą mówić, domyślać się, i ja zginę ofiarą twoją.

— Któż się ośmieli cię posadzać?

— Pierwsza, babka twoja.

— Babcia wie o wszystkim.

— I pozwala?!

— Ty wiesz, że musi mi pozwolić wszystko czego ja chcę, bo chcę silnie, bo wolę mam niezłamaną.

— I ona pozwala?

Marja rozplakała się — a Julja siadła ją pocieszać. Biednej Marji stawał przed oczyma wiek męki niepojętej i roskoszy niebieskiej. Być z tym, którego kochała, choćby raz w życiu codziennie, mówić, myślać się dzielić, w spojrzenie zajrzeć ukradkiem. Z drugiej strony, świat nieochybnie miał ją potępić. — Lecz miałoż co do stracenia? a to półrocze dla sieroty tak jasnym uśmiechało się i tak czystem szczęściem!

I wśród łez, wśród strachu zgodziła się na gorące prośby Julji.

— A jeśli mnie kochasz, dodała przyjaciółka — bądź z nim a! — prawie zalotną — staraj się mi go wydrzeć, zawrócić mu głowę — jeśli ty tego niedokażesz — o! to już nikt w świecie!

Długo w noc rozmawiały; Marja wróciwszy do swojej izdebki, klękała u łóżka, modliła się, płakała, błyskawice latały przed jej oczyma, krew zalewała serce, myśli szumiały wzburzone. Pół roku! całe pół roku niezamąconego szczęścia — a potem na wieki klasztor, cisza, modlitwa, lzy i zapomnienie....

Rano podkomorzyna zajeżdżała po Julję, i Jan był na pożegnaniu. — Marja i on inaczej niż wczora spojrzeli na siebie, na obojgu znać było jakieś pomięszanie i bojaźń, Marja rumieniła się co chwila i słabła..... A gdy Jan odprowadzając Julję odjechał, długo jeszcze powiodła za niemi oczyma. —

Znałem dziwnego szaleńca. — Z miłości utracił rozum, a w obląkaniu swoim miał jasne chwile pogody i przytomności, których mu zimny rozsądek pospolitych ludzi mógł zazdrościć. Pierwszem pytaniem jego, gdy się spotkał z nieznanym, było:

— Znałeś ty ją? a! jak była piękną!

Czasem dziwołagi nam prawil z powaga, z wiara w to co utrzymywal tak smieszna dla jednych, tak dla drugich smutna, ze nie jeden zaplakal, nie jeden boki zrywal. Dla mnie byla to zagadka powazna i litość wzbudzajaca.

Raz pomnę, wieczorem siedzieliśmy z nim (bo chodził wolno zawsze) na wzgórku panującym miastu W —; obie oczy wlepione były w to mrowisko, na którego ulicach roje ludzi się kręciły.

Nagle obłąkany śmiać się niezmiernie począł — Co ci to Werterze? spytałem (nazywał się sam tem imieniem),

— A! co! przypomniałem sobie moje podróże.

— Jakie podróże?

— Ty bo niewiesz, że ja niezmiernie wiele podróżyowałem, opłynąłem do koła całego człowieka i splondrowałem go wzdłuż i wszerz z kapitanem angielskim Wilmore. Płynęliśmy na fregacie *Experta*. Byłem na tej osobliwszej wyspie, która się sercem ludzkim zowie. Najczęściej bywa ona pustą, rzadko bardzo zaludnioną, mieszkańcy jedni wypychają drugich. — Serce kobiety i serce mężczyzny są to dwie wysepki niedaleko od siebie leżące, obie tak do siebie podobne, że najwprawniejszy żeglarz ledwie je po szerokości na jakiej leżą rozpozna. Wielu się nawet omyliło. Kobiety serce jest wyspą daleko obszerniejszą i przystępniejszą, mnóstwo doskonałych ma portów, wodę świeżą, gaje rokoszne, owoców mnóstwo, ale też gości na nim jeśli nie wiele razem, to mnóstwo jest ciągle. Widziałem tam czasem psy i koty, kanarki i sroczki. — Na pozór i serce mężczyzny bardzo jest do niego podobne, ale daleko mniej przystępne dla nieświadomych żeglarzy, którzy do wybornych portów jego; jakich jest tam mnóstwo, trafić nie umieją. Kto się tu dostanie, dłużej czasem mieszka; lecz postrzegąłem na obu sercach jedno to, że pospolicie jak niewiedzieć dla czego kto przyszedł; tak niewiedzieć czego odchodził. Nigdy przyczyny dociec nie potrafiłem. — Najdłużej mieszkali ci co to serce kaleczyli, co je krajali, co na niem dokazywali najdziwaczniej — ale i to nie było prawidłem. — Wielkie wstrząśnienia ziemi czasem ztąd całkiem wypędzają mieszkańców, po których długo serce zostaje pustynią.

Co tam kryjówek! co pieczar! co bogactw, z których często nikt nie korzysta.

Głowa ludzka leży nierównie dalej, i między nią a sercem są ciągle i regularne komunikacje. Od niejakiego czasu nawet chodzą statki parowe. Zamiana płodów żywi serce i głowę...

Na tem skończył obłąkany, który natychmiast opowiadać mi zaczął, co się dzieje na świecie i jaka ona była piękna!

Biedny szaleniec! Zdawało mu się, że znał serce ludzkie i serce kobiety — a któż się tem może pochłubić!

Ze wszystkich określeń serca, jakie po świecie krążą, nieśmiertelnie najprawdziwszem będzie słowo angielskiego poety:

Serce — przepaść!

Kto był na dnie, śmierć na niem znalazł i niepowie nam co się tam dzieje.

Jestże rachuba, coby wypadek uczuć i historję serca zawczasie dać mogła? —

Kiedy pierwszego dnia rano w cichym saloniku Dąbrowej, wszędzie widząc przytomną Julję, znalazł Jan Marję samą, serce mu zabolalo i był tak smutny, że ledwie słowo mógł przemówić; ona tak pomięszana, że pół-wyrazami ledwie poczynala rozmowę.

Nieśmieli mówić nawet o Julji.

Nazajutrz mówili o niej i o niej tylko, Jan po ciężkim razie, musiał się wylać z boleścią swoją, a z najdując w Marji kogoś umiejącego ją podzielać, mówił wiele, z zapałem, ze smutkiem.

Ona ledwie go pocieszała kilką słowy, a w duszy myślała. — O! jakże ona szczęśliwa! On ją tak kocha...

Czemuz trzeciego dnia Jan powiedział sobie, że Marja nie dręczyłaby tak kochanka, że w jej miłości więcejby było wiary, bo więcej uczucia?

Myśl ta wstydząc się, uciekla...

I mówili znowu o Julji tylko...

Potem spotkali się już trochę oswojeni z sobą, prawie radzi, że się widzieli, z pół uśmiechem. Marji błogo było na sercu, bała się uciekających chwil, które byłyby skarbem jej życia, rada je była strzymać, zahamować. — A gdy Jan krótko pobywawszy uciekał od niej, zamyślała się licząc godziny do jego powrotu.

I później jeszcze ośmieliła się spojrzeć na niego — a wejrzenia ich dziwnym losu zrządzeniem spotkały się, i powiedziały to, o czym sami niewiedzieli jeszcze tak zdradziecko, że oboje zarumienili się ze wstydu, z bojaźni.

Jan odjeżdżając powtarzał w drodze — Juljo, Juljo, godziź się szydzić z uczuć świętych, i na taką je wystawiać próbę? —

Lecz Jan kochał Julję, a Marja niczem się nie zdradziła. — Byli tylko poufalsi z sobą, przyjaciółmi już, którzy powoli odkrywali sobie serca tajniki.

Raz nawet Marja ze swej przeszłości smutne szczątki życia opowiedziała Janowi i Jan zabolął nad nią. — Biedna! biedna! rzekł w duszy — a tak sama jedna! a tak nieszczęśliwa!

I jakoś potem długo dość nie mówili nic o Julji, tylko o sobie. Aż przyszedł list z Warszawy i wszystko wróciło jak było dnia pierwszego.

Jan był niespokojny, czy to przypisać tęsknocie? Marja smutniejsza codzien — choć śmielsza z nim coraz. I nieuniknęła jego wejrzenia, ani rozmowy, ani spotkania.

Płynęła z biegiem wody. — A za nią był kraj smutny, a przed nią — pustynia. —

Kawałek tylko drogi mieli przebiec razem. Jan, który w początku narzekał, tęsknił, dni rachował z Marją, choć każde z nich z innej przyczyny, powoli coraz rzadziej na ustach miał Julję. Gniewał się na siebie, wyrzucał to sobie, gwałtem myśl naprowadzał na przyszłość obiecaną — a przyszłość ta nie miała już dla niego dawnego uroku.

W parę miesięcy widoczna była zmiana na obojgu. Jan walczył z sobą, Marja tała co czuła, ale kochała całą duszą. Cóż kiedy to uczucie utaić się nie da! Niepowiesz go — zdradzi cię wzrok, bojaźń twoja, niezręczność, oczy, ruchy i te szatanki co koło nas latają w powietrzu roznosząc myśli, którebyśmy ukryć chcieli, a które oni podają z uśmiechem każdemu.

Czasem miłość maskuje się nawet wstrętem, lecz ta ze wszystkich najwydatniejszą.

Marja umiała wprawdzie ukryć w sobie co czuła, lecz tyle tylko ile ludzkie pozwalają siły.

Jan czuł, że mu była — przychylną.

Myśli ich doskonale się spajały, serca rozumiały, upodobania zgadzały. — Oboje wierzyli we wszystko dobre i szlachetne tą wiarą młodą, która żadnej niepotrzebuje próby.

Jednego dnia po trzech miesiącach, Marja nareście postrzegła wielką zmianę w Janie i przerażona się nią. Jan nie wspominał Julji, chyba przypadkiem i obojętnie, przybywał raniej, odjeżdżał później i bawił się dnie czasem całe, czasem całe wieczory i przedłużał pobyt w Dąbrowie. Starościna brała to wszystko za przyjaźń niewinną i całkiem była spokojna; ale Marja nie mogła nie postrzedz, że już nie była obojętną Janowi jak przedtem, że serce jego zmieniło się, a ostatnia próba była jego upadkiem.

Długo przeczyła sama sobie, lecz wejrzenia dopełniły się wyrazem i dłużej wątpić nie było można.

Przeżona i siebie obwiniając tylko, przelękną, strapiona straciła głowę; lecz pierwsza na poświęcenie gotowa, postanowiła czekać wybuchu, a jeśliby nieomyliła się, powiedziec Janowi, że nie może być jego, ani niczyją w świecie.

To wyznanie mogło jej życie kosztować, lecz nazaczyła je sobie jako karę, bo niestałość Jana przypisywała sobie biedna, sobie tylko.

Lecz cóż się działo w sercu Jana?

Serce przepaść! któż je pojmie, kto je wytłumaczy?

W pierwszych chwilach wahało się ono między Julją i Marją, długo, długo, aż przechyliło się na stronę pierwszej. — Teraz wracało do drugiej. Jan rozpaczal i kochał, szalał i powracał do Dąbrowej.

Zmieniony, wychudły, chory, obłąkany prawie, jak dnia sądnego lękał się przybycia Julji.

A czas leciał czwałem i wiosna już w całej krasie rozpięła zielone skrzydła nad ziemią.

—

Któż odmaluje walki, modlitwy, łzy, rozpacz i wyrzuty, które sobie czyniła Marja. Czarne jej oczy dziwnym ogniem pałały — wybladła, zmieniła się, chodziła w pół tylko żywa...

A Jan posłuszny teraz więcej sercu swemu niż rozkazom, przyjeżdżał do Dąbrowej.

Raz był to ranek majowy, Marji nie było w salonie, Jan szedł do ogrodu i zastał ją w jednej z ciemnych ulic bocznych.

Z książką w ręku przechadzała się Marja wzrok obłąkany tocząc do koła. Jan, widąc to było z jego oczu, przybył z jakimś postanowieniem stanowczem.

Przywitali się więcej zmięszani niż zwykle, przeczuwali coś straszego oboje.

Jan długo szedł obok niej milczący. —

— Cóż to za wiosna, cicho mówiła Marja, w życiu mojem niepamiętam... podobnej (najpiękniejszą wiosną, jest zawsze ta w której kochamy).

— Niebo tak pogodne, powietrze tak łagodne, zieloność rozwija się tak żywo, kwiaty podnoszą główki jaskrawe, jakaś radość w powietrzu.

— O! gdybym to tak mógł czuć jak pani.

— Zdaje mi się, że nic panu nie przeszkadza, tylko zgryzoty sumienia i rozpacz w pierwszej swej sile mogą od tego widoku oderwać, i to uczucie przeważać.

— Tak! zgryzoty — i rozpacz.

— Lecz możesze pan nosić ciężar obojga?

— Nigdy nieznał — a dziś mam je na sobie — i dźwigam winowajcę.

— A! cóż pan mówisz! cóż są za ciężkie jego zbrodnie.

— Jedna, ale straszna!

— Zabijeś pan muchę, czy pająka? żartując spytała Marja.

— A! pani, nie żartuj ze mnie — Dość spojrzeć na mnie, żeby się domyśleć co cierpię.

— Kochasz Julję i cierpisz dla niej.

— Ja! ja kocham Julję! z dziwnym śmiechem zawołał Jan — Ja!

Marja stanęła.

— Kochałem to prawda — ale dziś! o! nie, ja jej nie kocham.

— Niegodzi się szydzić!

— Tak jest Marjo, zawołał z zapalem Jan porywając jej rękę, ciebie kocham, ciebie jedną. — Możesz mnie odepchnąć, musisz mi niewierzyć, — lecz kocham ciebie — kocham ciebie!

W obec niebezpieczeństwa Marja nabrała zimnej odwagi, jak ten majtek, co modli się wśród burzy, drży gdy bałwany biją o okręt, lecz rzucony na fale, chwyta deskę i ratuje się mężnie.

— Mnie? spytała pogodnie prawie — O! na szyderstwo więc wystawiła mnie Julja — Godzisz się mi to mówić — po niej! I sądzisz pan, że przyjmę jego miłość, miłość drugą, zmienną jak wasze uczucia wszystkie, że zdradzę przyjaciółkę? — Niespodziewałam się, żebyś pan do tego stopnia się obłąkał.

Jan nieumiał słów znaleźć, niespodziewał się od łagodnej Marji tak przykrych wyrzutów, lecz zniósł je czując, że na nie zasłużył. Spuścił głowę.

— Winienem, rzekł i jako winowajca zniósł wszystko; lecz stało się. — To było nad siły moje. Cóżem winien, że wystawiony na próbę upadłem. — Odepchniesz mnie — to pewna, lecz i do Julji nie wrócę.

— Pan masz obowiązek. —

— Powiem Julji — jeśli chce mnie bez serca, bez przywiązania, chłodnego niewolnika, posłuszne zwierzę mieć u nóg — należę do niej.

— Lecz prędzej pierwsza niż druga miłość pańska jest prawdą — pierwszą czas ugrun-
tował, druga jest fantazją próżniaka.

— Wszystkiemu wart, wszystko zniósę, powtórzył Jan.

— Co do mnie, zbierając siły rzekła heroicznie Marja — ja ani pana, ani niczyją być niemogę.

— Kochasz?

Marja zamilkła. Są ofiary, dodała, które na odkupienie win naszych winniśmy dopełnić; jedną z wielkich ofiar życia jest to co panu powiem o sobie. Jam nikogo nie warta — ty wrócisz do Julji.

— Nigdy!

— Słuchaj pan, niepatrząc na niego i szukając sił w sobie, mówiła Marja — słuchaj kto jestem. Byłam opuszczoną sierotą, byłam pośmiewiskiem służalców połowę życia mego. Niema szkarady, któraby od dzieciństwa oczów moich, myśli, serca nie splamiła. Ta, którą kochasz jak mówisz, z psami podwórza gryzła się nieraz o skórkę chleba spleśniałą. — Takie było dzieciństwo moje. — Nademną żadnej opieki prócz Bożej — o! i o tej zwątpić przyszło — nademną opiekun krewny, co czyhał na majątek i mnie się tylko chciał pozbyć. Dom jego był łotrowską pieczarą, a młode dni moje w nim spłynęły. Umarła żona jego i starzec przypadkiem spojrział na sierotę, której młodość była całą ponętą — drugą może majątek. Nagle z czeladnej izby, z grubego odzienia przeniosłam się do miasta — na pensję. I dwa lata upłynęły mi tam swobodne, szczęśliwe, jasne.

Zastanowiła się, oddechu brakło, padła na ławeczkę. — Słuchaj pan! słuchaj do końca. — Starzec odebrał mnie do domu, mówił mi że chce się ożenić ze mną. Uważałam to za poczwarną za straszną groźbę, zacoś niepodobnego, oparłam się — opierałam —

Nie byłam jego żoną — leci mściwy i zajadły, niemogąc skalać serca, zostawił mi wstył na życie całe. — Na tych ustach, gwałt wyrzył plamy, te ręce skurczyła boleść rozpaczliwej obrony — Ja nikogo nie jestem godną.

Domawiając tych wyrazów Marja zachwiała się, omdlała — upadła.

Jan spojrział na wół umarłą, stał niemogąc ratować i straciwszy przytomność, potarzał tylko do siebie jak szalony. —

— Nikogo... nikomu... śmierć. —

Szczęściem szukając ją od starościny służąca posłana po Marję, nadbiegła i Jan mógł się oddalić, ale nie poszedł po konia, nie wrócił do domu i zapuściwszy się w ogród, potem w pole i las, zabłąkał się bez celu.

Stan jego duszy opisać się nie daje. —

Ojciec niespokojny, rozesłał szukać go na wszystkie strony, gdyż na noc, ani nazajutrz niepowrócił. — Trzeciego dnia znaleziono go w bliskości dębów, wycieńczonego boleścią i głodem, spalonego gorączką i chorego odwieziono do Jarowiny.

Marja chciała natychmiast odjechać, ale opuścić starościny nie mogła. — Tym czasem list Julji oznajmywał jej przybycie za dni kilka.

Julja przybywała pewna zwycięstwa, wesoła i szczęśliwa, z nadzieją, z szalem prawie. — List jej do Marji pisany był ogniem cały — I spieszyła tak, że tygodniem wprzód przybyła nim się jej spodziewano.

Marja, cień tylko chodzący, przeraziła ją jak widmo w progu domu.

Cofnęła się i przecucie pierwszy raz ścisnęło serce.

— Co ci jest?

— Widzisz Juljo! odpowiedziała — nic mi nie jest.

— Tyś chora?

— Nie czuję —

— Co się dzieje z Janem?

— Nie wiem, dawno tu nie był. —

W tem uścisk staruszki, która wywlokła się na ganek przeciwko wnuczki, przerwał rozmowę. Julja niespokojna czyhała na chwilę, żeby sam na sam z Marją pozostać.

Położenie Marji było ciężkie i bolesne, lecz kłamać, ani mogła, ani chciała. Prędzej, później Julja dowiedzieć się musiała prawdy. Jan był w niebezpieczeństwie, choroba jego przybrała charakter straszliwy, doktorowie rozpaczali o nim. — Stary Darski w ponurem milczeniu, nieporuszony dzień i noc siedział u jego łóżka.

Pod pozorem znużenia szybko Julja rozstała się z babką i z bijącym sercem pobiegła do Marji. Marja klęczała na modlitwie, wstała, wzięła rękę Julji i poważnie wskazała jej krzyż.

— Co to znaczy? Marjo! na Boga —

— Módl się — Juljo...

— On umarł!

— Żyje jeszcze.

— Chory! Ja lecę do niego! puszczajcie mnie! pójdę — sama — pójdę — O! do niego, on chory, i może z mojej winy.

— Kobiety miejsce u krzyża, odpowiedziała Marja — płakać, modlić się, cierpieć, to los nasz.

— Lecz cóż się stało, mów, nie zabijaj mnie niepewnością — mówże wszystko —
— Wszystko? spytała Marja — lecz masz-że odwagę usłyszeć i wytrzymać wszystko?
— A! więc to coś okropnego, coś okropniejszego od śmierci. —
— Jan powróci ci może, lecz nie jest dziś twoim.
Julja porwała się, odstąpiła krok.
— A! więc to ty go uwiodłaś — ty niewdzięczna — ty mnie i jego zabijasz! on ci nic niewinien. A! — nie! jam najwinniejsza. —
I odwróciła się ze wstrętem, z pogardą.
— Przyjaźń! przyjaźń, zawołała — o! to co ludzie zowią przyjaźnią, jest słodką trucizną, powolną zdradą —
— Juljo — wszystko ci powiem — obwiniaj mnie, lecz jam nic nie winna —
Jutro mnie tu nie będzie, lecz dziś ty prawdę usłyszysz.
— Jestże prawda, gdzie? powiesz mi kłamstwo na wymówkę zdrady.
Julja płakała. —
— Musisz mnie wysłuchać. — Jan długo walczył i niewiem jaka nieszczęśliwa gwiazda, jaka fatalność pociągnęła go ku mnie.
— Gwiazda?? oczy twoje, słówko twoje, uśmiechy — o! znam cię teraz niewinna.
— Ale ja ani jego, ani niczyją być nie mogę, miałam siłę mu to wyznaczyć.
Julja się zastanowiła.
— Nie znasz całkiem mojej przeszłości, oblanej łzami, jutro cię opuszczę, dziś poznaj mnie całą.
I głosem przerywanym łkaniem z głową w czarny warkocz ukrytą, Marja powtórzyła wszystko — wszystko aż do miłości Jana, do ostatniego wyznania.
Julja słuchała i gniew jej we łzy się rozplywał —
— Daruj mi, rzekła na koniec powoli — daruj Marjo! To ja winnam wszystkiemu, tyś anioł, co skrzydło w błocie ziemi skalał; a kał dawno opadł z piór twoich. Daruj mi, przebacz nieszczęśliwej — szalonej. — Lecz powiedz mi czy żyje — o! już nie będę jego, ale niech z tobą będzie szczęśliwy, z kim zechce, byleby nie umarł. — Powiedz mi czy żyje?
— Żyje! żył jeszcze rano! smutnie wyszepnęła Marja — módlmy się, módlmy się za niego.
I splótłszy ręce zimne, klękły przed krzyżykiem, a cała noc spłynęła we łzach i miodlitwie.....

W Jarowinie cichy ranek letni wschodzi naprzeciw okien samotnego domostwa. — W dziedzińcu nie było ruchu i wrzawy, ludzie snuli się milczący, powolnie. — Słowik-zajadle nucił tylko w krzakach pod oknem. W progu z głową w dłoniach siedział Kasper i łzy ocierał. — W pierwszej izbie nikogo — W sypialni okno było otwarte, na łóżku leżał Jan, a raczej skelet biednego Jana, z oczyma otwartymi straszliwie i usta spalonemi gorączką — ręce jego bezwładne opadały na pościel, pierś powolnym ciężkim podnosiła się oddechem. Patrzył na okno, a nic niewidział.

Przy nim w głowach starzec, jak on nieprzytomny, skościwały, błądy, złamany w pół i drżący; łzy płynęły mu po twarzy bez ustanku i długa ich struga wryła na policzkach drogę czerwoną. — Widać nie dziś już płakał...

Nikogo więcej i pies tylko wierny u nóg łóżka z podniesioną głową, zawył niekiedy pół głosem i przelękły własnym głosem wśród ciszy, przypadał znowu. —

Słowiczy śpiew i szczebiotanie ptaków słyhać było przez okno — w stajni rżał Lebed siwy...

Lekarze opuścili łóżko chorego, nie było ocalenia nadziei, co chwila mógł skonać; ojciec sam jeden nieodstąpił syna...

Nagle otworzyły się drzwi pierwsze i szelest sukni kobiecej dał się słyszeć — Julja niepostrzeżona od nikogo, stanęła w progu. — Jan niewidząc jej wstrząsnął się, starzec obrócił, zobaczył i wstał poważny z gniewem na czole. —

Kobieta klęczała przy łóżku.

— Wiem kto jesteś — rzekł Darski — idź ztąd, idź — zabiłaś go — nie czekaj bym cię przeklął. —

W tem Jan pochylił głowę, niepoznał jej i odwrócił się.

— Niepoznał mnie! zawołała z rozpaczą.

— Daj mu skonać w pokoju, rzekł stary, idź, idź ztąd! Ty co miałaś serce żartować z przywiązania, igrać z życiem ludzkim — idź! idź! Bóg ci może przebaczy — ojciec nie może! —

Lecz Julja nie miała siły ani wstać, ani zwlec się — całowała zimną już rękę Jana, któren pomimo, że nie dał znaku iż ją poznał, jakby wzruszenie jakie wstrząsło nim nowe, konać poczynał.

Ze złamanemi rękoma ojciec klęczał przy nim i zachodził się z płaczu. Skonanie ciężkie było i powolne, ale ani przytomność, ani mowa nie wróciły mu w chwili uroczystej zgonu. — Julję wynieśli bezprzytomną — ojciec pozostał przy nim...

Spytacie może co się stało z żywemi? Nie zawsze śmierć przychodzi, gdy jej żądamy — a życie bywa długą pokutą.

Stary Darski rok prawie konał, nie mogąc pójść za synem.

Marja wstąpiła do klasztoru.

A Julja? Julja żyje, ale jej życie oblokło się kirem na wieki. Sama jedna, z myślami i żalem mieszka w Dąbrowie i na jednym smętarzu odwiedza grób babki i Jana. —

Krucze jest szczęście nasze, nie rzucajmy go o ziemię. —

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ostroznie-z-ogniem/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Ostrożnie z ogniem*. Powieść, drukarnia Zakładu Narodowego Ossolińskich, Lwów 1849.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0451-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).